

Rafał Aleksander Witkowski

s p o k ó j
i i n n e o p o w i a d a n i a

MAISONS-LAFITTE.PL

Rafał Aleksander Witkowski

SPOKÓJ

i inne opowiadania

Warszawa, 2023

www.Maisons-Laffitte.pl

SPOKÓJ

i inne opowiadania

ISBN: 978-83-957651-4-8

Książka ta chroniona jest prawem autorskim.

Copyright by Rafał Witkowski. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Fotografie w opowiadaniu pt. *Anglik w Nowym Jorku*:

Copyright by Piotr Witkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone

s. 7:



s. 25:



s. 14:

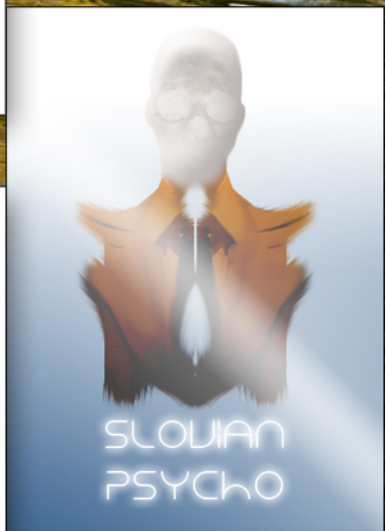


s. 100:

s. 63:



s. 82:



Tematem, jaki przewija się przez wszystkie opowiadania niniejszego zbioru jest spokój. Najbardziej namacalnie występuje on w pierwszym z nich (*Spokój*); ukazany tu został jako stan pożądany w obliczu traumy, którą bohater przepracowuje, antycypując pogląd psychologii na ten temat.

1498 to opowiadanie osadzone w piętnastowiecznej, teokratycznej Florencji, rządzonej przez Girolama Savonarolę; ukazuje niebezpieczeństwo, jakie może grozić osobie izolującej się we własnym świecie – w świętym spokoju, nie rozeznanej w tematach ogólnych realiów.

Anglik w Nowym Jorku to opowieść o człowieku, który poszukuje miejsca, w jakim mógłby być sobą i zaznać tym sposobem wytchnienia. Opowiadanie zilustrowałem fotografiami, na których ich autor – mój brat, Piotr wizualnie ukazał ducha Nowego Jorku.

Pole bitwy to opowiadanie o bitwie, która rozgrywa się między Laurą i Leonem o spokój w ich relacji, a także na płótnie – o „grecki ton”.

Opowiadanie pt. *Resuna* jest wizją przyszłości w krytycznym odniesieniu do dzisiejszych trendów, o miejscu, w którym panuje niemal absolutna równość i związany z nią spokój; jednak spokój ten nie może być utrzymany, co czyni z

opowieści dystopię. Opis miki jest tu w znacznej mierze fikcyjny i nie stwierdzono właściwości leczniczych tego minerału, dlatego nie należy się tym wątkiem sugerować w życiu realnym.

Ostatnie opowiadanie pt. *Slovia Psycho* ma przekaz o patologicznym spokoju, nie osiągniętym drogą filozoficzną, lecz psychopatyczną obojętnością i brakiem empatii.



Rafał Aleksander Witkowski – ur. 1980, autor filozoficznej książki pt. *Imponderabilia. Opus Magnum*, w której sprecyzował swoją filozofię egzystencjalnego autonomizmu, rozprawy historyczofizycznej pt. *Anatomia totalitaryzmu* oraz zbioru esejów o sztuce pt. *Sztuka i jej konteksty*. Jest historykiem sztuki, absolwentem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz Towarzystwa Miłośników Historii – Warszawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego.



s p o k ó j

Drewniany most nad rwącą rzeką z wirami to częsty widok tu w Nowegii. Wiele z takich konstrukcji miałyby zapewne wiele do powiedzenia o bywalcach, których każda jedna historia życia mogłaby posłużyć za temat do przynajmniej jednej książki. Jednak ten most jest wyjątkowy w tym, że taką historię opowiada do dziś od 1893 roku.

Inger była młodą, ale bardzo dojrzałą dziewczyną. Doświadczyła ją jedna z odmian *dementia praecox*, odmian którą dziś nazwalibyśmy schizofrenią (i to też jedną z wielu odmian schizofrenii) i którą psychiatrzy jedynie zaleczali lodowatymi kąpielami. Skąd się wzięło doświadczenie u oziępszej dziewczyny? – ktoś mógłby zapytać. Demencja wszystkim kojarzy się z wegetującym człowiekiem, do którego nie docierają żadne bodźce, i który na nic nie reaguje. Tymczasem *dementia praecox* dotyka bardzo wrażliwe i głęboko myślące osoby. Ilość wrażeń, jakie odbierają i ilość myśli, jakie przechodzi im przez głowy (w niekontrolowany sposób u osób nie leczonych) sprawia, że zatrzymują się w miejscu. To tak, jak z ruchem przedmiotu czy raczej z jego drżeniem, które osiąga taką częstotliwość, że ów przedmiot zdaje się zawieszać w miejscu. Ilość wrażeń i tych dobrych, i

tych złych przytłacza osoby chore, ich umysły nie dokonują selekcji doznań, tylko są tych wrażeń rezerwuarami po brzegi wypełnionym. Termin *dementia* jest mylący, zważywszy że osoby ze schizofrenią potrafią rozpamiętywać bardzo dawne sprawy. Tak było właśnie z Inger.

Czując bardzo głęboko i potrzebując miłości jako antidotum na doznania i świadomość złych rzeczy, miłości która by zdominowała jej świat, jaki był bezustannie w ciemno – szarych tonach, wyglądała na kogoś, kto ma obsesję na punkcie ukochanego, jednak przecież to nie była obsesja. Potrzeba miłości była w niej tym silniejsza przez to, że trudno było jej wykonywać jakichkolwiek zajęć – tak przytłoczoną duszę miała.

Klaus, ukochany Inger, miał bardzo stoickie, wręcz zimne usposobienie, jednak to była tylko powierzchwnia. Pod skórą, kryła się również wrażliwa dusza, która bardzo współczuła Inger. Do tego stopnia, że zastanawiał się czy nie jest z nią tylko z litości. Nie mógł jej poświęcić tyle czasu, ile by ona chciała, ponieważ miał codziennie wiele spraw do załatwienia. Pewnego dnia przez wstrząs, jakiego doznał w związku ze słowami Inger coś w nim się załamało. Słowa te brzmiały: „Obiecuj kochany Klausie, że zawsze będziesz ze mną. Bo wiesz, jeśli mnie zostawisz... zabiję się”. Od tego

momentu w duszy Klause panowało straszne zamieszanie, zdominowały go sprzeczne uczucia i myśli. Teraz już nie wiedział czy ją kocha, czy nie. Z jednej strony potraktował jej słowa jako szantaż moralny, z drugiej współczuł jej zbolącej duszy. „Jak ona może żyć ze świadomością, że jestem z nią przez jej słowa? Czy ona ma jeszcze godność? Czy z mojej strony nie jest to już wyłącznie litość?”. W innej chwili mówił sobie: „Rzeczywiście nie mogę nigdy zostawić tej biednej dziewczyny. Kocham ją i czuję się za nią odpowiedzialny”. Nie dzielił się z Inger swoimi odczuciami, bo wiedział, że to by ją dobiło. Udawał, że jest między nimi, jak dawniej. Inger miała otępienie, ale głupia nie była i po pewnym czasie głęboko zdała sobie sprawę, co swoimi słowami uczyniła – że unieszczęśliwiła nimi swojego ukochanego i siebie. Ale nie umiała przyznać tego wobec Klause. Ona także udawała, że nic się nie stało. Wszystko to przytłaczało ją dodatkowo, a lodowate kąpiele już jej nie pomagały. Chodzić zaczęła na długie spacery, podczas których próbowała porządkować swoje myśli i uczucia. Tymczasem myśli i uczucia zaczęły być jej jedyną rzeczywistością, świat dla niej był już nierealny, rozpływał się. Codziennie przemierzała ów drewniany most, mijając niczym zjawą ludzi. A może to ludzie byli widmami?

Był szary, jesienny poranek. Ten sam most, co zwykle. Pojawił się impuls w głowie Inger i było już po wszystkim. Jej wewnętrzny świat, tak ponury, ale przecież jednocześnie tak bogaty, został porwany wraz z cielesną powłoką przez wartki nurt rzeki. Byli tego świadkowie. Klaus jeszcze tego samego dnia dowiedział się o wydarzeniu. Poczucie winy nie chciało go opuścić, choć z drugiej strony wiedział, że ukochana była chora. Zdał sobie sprawę, że był z nią nie tylko dla niej, ale i dla siebie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ją kochał. Starał się zrozumieć, co działo się w jej głowie. Wiedział, że była chora, jednak niejednokrotnie słyszał od swojego ojca, że zdrowy chorego nigdy jeszcze nie zrozumiał i słowa te dźwięczały mu w uszach, mimo że sam popadł w głęboką melancholię. Nie przeszło mu przez myśl, że to wydarzenie mogłoby zaważyć na trwałe i na jego zdrowiu, jednak robił ze sobą wszystko, by ten stan już mieć za sobą. Próbując zrozumieć to, co się stało, chodził w te same miejsca, w których bywała Inger. Spacerował wzdłuż rzeki i przez drewniany most. Mijał pośpiesznie tych samych ludzi. Choć niektórzy z nich wiedzieli o wydarzeniu i współczuli Klausowi, to nie emanowało z nich nic co by jemu, nieszczęśliwemu wyjaśniło czyn czy raczej anty–czyn ukochanej. Szukał też odpowiedzi w książkach Ibsena,

Strindberga, Dostojewskiego i Tołstoja – autorów, którzy przecież dużo wiedzieli o życiu i cierpieniu. Poza tym dowiedział się o istnieniu niezwykłego artysty malarza, który sam wiele przeszedł i wycierpiał – Edvarda Muncha. Poznał go osobiście, widział wiele jego obrazów, które są anatomią ludzkiej psychiki i problemów egzystencjalnych typowych dla tamtych czasów, ale i uniwersalnych, ponadczasowych.

W pewnym momencie w głowie Klause rozpoczęła się bitwa, jakiej nie doświadczył nawet po pamiętnych słowach Inger. Hamletowskie „być albo nie być” stało się jego nie uświadomionym mottem. Wyszedł z depresji i wzniósł się na poziom walki. „Tak, byłem zimny, jednak dawałem z siebie wszystko” – prowadził wewnętrzną rozmowę. „Może moje rozterki i niedowierzanie w samego siebie były widoczne, może Inger to zauważyła?” – myślał innym razem. „Co ją do tego pchnęło?! Boże odpowiedz?! Czy to moja wina?!” – wykrzykiwał. „Jak mogłaś być tak egoistyczna?! Jeśli wiedziałaś, jak będę cierpiał przez ciebie, to tym gorzej!”.

Jeszcze raz poszedł na most, było to nad ranem, dopiero świtało, nie było ludzi. Wszedł na barierkę. Popadł w zadumę. Poczul ten sam wiatr, te same deski pod sobą, ten sam szum

wody, które poczuła Inger. Kiedy poczuł gotowość do rzucenia się w wiry rzeki, natychmiast zrobił w tył zwrot.. Pobiegnął wzdłuż mostu, wydając z siebie długi krzyk. Za nim pojawiło się dwoje ludzi – świadkowie tego zdarzenia. Pobiegnął do domu i położył się do łóżka. Zasnął natychmiast. Gdy obudził się, poczuł spokój, jakiego od dawna nie zaznawał. Spokój utrzymywał się. Nie zaznał by go, gdyby nie stanął oko w oko ze swoją traumą, jednak to odkryli psychologowie trochę później.

Edvard Munch dowiedziawszy się o zajściu, namalował je. Obraz zayttuował *Krzyk*.

Też rzeka jest dzisiaj spokojniejsza.



1498

Miasto czerwonej lilii – Florencja. Rok 1498, a więc *Achsenzeit*, moment zwrotny w dziejach. W 1492 roku Kolumb odkrył Amerykę, wyparto Maurów z Granady, nastąpiły wydarzenia, które przeorientowały myślenie. W 1453 roku podbity został Konstantynopol przez Turków, przez co do Europy napływały kolejne fale uczonych bizantyńskich, którzy przynosili ze sobą humanizm i ponowne odczytanie Arystotelesa i Platona; wiele idei mogło docierać do wielu ludzi dzięki wynalazkowi druku; odrodził się antyk, a początki temu dali Dante, Petrarka, Boccaccio, Giotto – właśnie we Florencji. 1492 rok to także czas, w którym nastąpiły zawirowania dynastyczne, a zatem i układ sił w Europie, był to bowiem rok w którym zmarł Lorenzo de Medici „Il Magnifico” – godny kontynuator polityki florenckiej rodziny bankierów – Medyceuszy. Lorenzo zapisał się w historii przede wszystkim jako wielki mecenas artystów takich, jak Botticelli, Michał Anioł i humanistów: Ficino, Poliziano, Pico della Mirandola. Przez wielu współczesnych Medyceuszom, ale i wieki po nich, ich rządy określane były jako tyrania. Niewątpliwie doszli do władzy dzięki własnym fortunom i obsadzaniu swoimi ludźmi kluczowych stanowisk np. w Signorii florenckiej. Jednak nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że dzięki nim wygasły bratobójcze

konflikty, jakie toczyły się we Florencji od XII do XIV wieku między gwelfami i gibelinami. Cóż, może Hobbes miał rację, że silna władza bywa zabezpieczeniem przed „wojną wszystkich przeciw wszystkim”.

Społeczeństwo Florencji w drugiej połowie XV wieku było hedonistyczne, a kultura stanowiła syntezę pogaństwa z chrześcijaństwem – to wszystko nie wszystkim jednak podobało się, dla wielu był to czas wyczekiwania na odnowę, jakiej spodziewano się w okolicach okrągłego 1500 roku. Jednym z tych ludzi był dominikanin Girolamo Savonarola.

Taddeo di C. to młodzieniec, jakby wyjęty z obrazu Botticellego – szczupły, o brązowo – rudych włosach z lokami u szyi, wężykowatych ustach, strojący się w ubrania, podkreślające jego sylwetkę, jak to było w modzie wśród wyższych sfer. Taddeo di C. jednak przynależał do, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, klasy średniej. Jest synem wysoko postawionego przedstawiciela Cechu Welniarzy, a on sam należał do bractwa muzycznego. Kochał muzykę, szczególnie poświęcał się grze na lutni. Komponował i pisał pieśni.

Taddeo di C. ubierał się nieco snobistycznie, jednak nie interesowało go życie arystokracji, a od polityki nie tyle stronił z niechęci, co go absolutnie nie interesowała. Było to niezwykle w

społeczeństwie florenckim, które było od zarania rozpolitykowane, a florencka *libertas* z czasów Republiki była dumą każdego jej obywatela i towarem eksportowym (dystrybuowanym nieraz siłą). Taddeo poświęcił się swoim pasjom w pełni. Czy to wszystko, jak go tutaj pokazuję, świadczy o tym, że był pięknoduchem w naszym pojęciu? A może jednak kimś, kto poświęcił się temu, co naprawdę ważne? W dodatku, był człowiekiem głębokiej wiary, ale takiej dalekiej od dewocji. Jego wiara była bardziej ugruntowana filozoficznie, niż religijnie. Do tego ujmujący w obejściu się, zyskiwał sympatię wielu młodych i starszych. Zyskał też szacunek, dzięki swoim talentom i wiedzy, które to cechy wówczas miały większe znaczenie.

Pewnego ranka 1498 roku poszedł do San Marco na kazanie Savonaroli (rzadko to robił, bowiem wiarę przeżywał wewnątrznie), który od czterech lat sprawował władzę we Florencji, zaprowadzając w niej teokrację. Coś wcześniej słyszał o tym kaznodziei, jednak nie wiedział o wszystkich aspektach jego panowania, ani jak osiągnął władzę. A zdobył ją paradoksalnie dzięki między innymi intrygom przyszłego papieża Juliusza II wymierzonym przeciwko Medyceuszom, ale i samemu Savonaroli; w 1494 roku dominikanin wydobyl z

opresji Florencję, na które to miasto wyruszył król Francji Karol VIII, a która została prawie skompromitowana przez politykę Piera de Medici, syna Lorenza – na ten moment, kiedy wygnano Medyceusza z miasta, datuje się początek władzy kaznodziei. Postanowił on zaprowadzić moralną odnowę w mieście, potem w całej Toskanii, Europie i wreszcie w całym Kościele.

Savonarola skończył już z ogłaszaniem swoich wizji o końcu świata – obywatele Florencji byli zmęczeni już bieżącymi katastrofami takimi, jak kolejna epidemia dżumy w 1497 roku. Dominikanin zaskarbił sobie zresztą serca rzesz mieszkańców swoją postawą podczas zarazy. Teraz – na początku 1498 roku – ganił papieża i jego otoczenie za korupcję, symonię, rozpolitykowanie, zbytek. Głosił to i próbował dokonać tego, co zrobił w 1517 roku Marcin Luter. Tak jak poprzednie mowy, tak i teraz przybierały jego kazania formy niezwykle ekspresyjnego spektaklu. Przyciągał tłumy swoich stronników: „płaczków” (*piagnoni*), którzy mieli zaciekłych wrogów w rzeszach „wściekłych” (*arrabiati*) oraz zwolennikach Medyceuszy (*compagnacci*).

Również tego ranka, w którym na kazanie przyszedł Taddeo w San Marco zgromadziły się tłumy „płaczków”. Z ust dominikanina wybrzmiały słowa:

„Pierwszym miastem, które zostanie odnowione, będzie Florencja... tak jak Bóg wybrał lud Izraela, by został poprowadzony przez Mojżesza przez udrękę ku szczęśliwości... tak teraz lud Florencji zostanie powołany do podobnego zadania, pod przewodem jego własnego proroka, nowego Mojżesza... w wieku sabatowym ludzie będą się radować w Nowym Kościele; i będzie tylko jedna trzoda i jeden pasterz.”
(tłum. Jerzy Korpanty)

Taddeo zrozumiał przesłanie, choć nie interesowało go reformatorstwo ani polityka. Usłyszał, że mają nadejść zmiany. Jednak z czego na co, nie zdawał sobie sprawy, żyjąc ciągle w swoim świecie.

Po kazaniu, idąc ze spuszczoną głową, zamyślony, niechcący szturchnął ramieniem strażnika miejskiego. Choć główną władzę dzierżył Savonarola, struktura rządów oraz służb była podzielona i w nich również znajdowali się *arrabiati* i *compagnacci*. Najwyraźniej i ten strażnik należał do któregoś z tych stronnictw, bo zareagował wobec Taddea: „Podobało się, co?”. Było to pytanie nie jednoznaczne, nie wybrzmiał w nim *expressis verbis* ton niechęci, bo nie mógł, ponieważ Signoria

generalnie, w większości jeszcze sprzyjała dominikaninowi. Jeszcze. Poparcie i dezaprobata napływały falami o zmiennych rytmach. Oczywiście Taddeo nie zdawał sobie sprawy z tych wszystkich meandrów i niuansów. Wiedział tylko, że miał tego dnia przed oczami proroka. Utwierdził się w przekonaniu, że on i jego ojciec słusznie zrobili oddając jedną z lutni – tę bardzo ozdobną – na „palenie marności” na stosie z przedmiotów zbytku, luksusu, książek, obrazów itp. Lutnię znacznie surowszą zachował przy sobie, bowiem nie potrafił wyrzec się swojej miłości do muzyki, grania, komponowania, czego zresztą też Savonarola oczekiwał od społeczeństwa.

Częściej niż na msze czy kazania rozmyślał i miał w tym pewne przygotowanie formalne, bowiem uczestniczył w dyskusjach organizowanych przez neoplatońską Akademię Florencką kierowaną przez Marcela Ficina. Tam właśnie wykuwały się idee neoplatońskie, kojarzące Platona z chrześcijaństwem, Platona z Arystotelesem. Najważniejszymi zagadnieniami ściśle filozoficznymi były w niej miłość i piękno. Przeanalizowano tam na wszystkie możliwe sposoby *Ucztę* Platona, a Ficino ukuł pojęcie „miłości platonicznej”, rozumianej tak, jak ją dzisiaj nadal rozumiemy. I właśnie w Akademii Taddeo nie tylko że nauczył się tego pojęcia czy żyć i

kochać zgodnie z nim, lecz odkrył dzięki dyskusjom, że tę miłość już nosi w sobie. Miłość do Marii, którą codziennie obserwował, kiedy chodziła na sprawunki na rynek nieopodal domu jego ojca. Ona nie wiedziała nic o jego istnieniu, on nie wiedział nic o niej oprócz tego, że lubiła owoce, których dużo kupowała no i oczywiście, że była piękna.

W Akademii nie podejmowano tematów politycznych. Savonarola i tak wykazał się dużą tolerancją wobec tej instytucji, która kultywowała pogańskich filozofów. Rozmawiano o sprawach ważniejszych. Piękna nie kojarzono wcale ze sztuką – to nastąpi dopiero w XVII – XVIII wieku. Dyskutowane było wspólnie z prawdą i dobrem i w kontekście miłości, czyli po platońsku. Jednak Taddeo swym wizjonerskim umysłem wybiegał z tym wątkiem daleko naprzód, bowiem uznał, że skoro zasadą sztuki jest prawda, to i musi być sprzężone z nią piękno. Tym bardziej, skoro i w jego utworach pojawiał się na ogół wątek miłości – oczywiście do Marii. Skoro ujmowano sprawę miłości po platońsku w kontekstach prawdy, dobra i piękna, to dla Taddea esencją sztuki było piękno. Doszedł do tego nie tylko sylogizmami, ale i głęboką intuicją. Zresztą proszono czasem Taddea, by grał i śpiewał coś swojego. Spotykał się zarówno z pochwałami, jak i z – jak przystało na

takie miejsce – konstruktywną krytyką i radami od bardziej doświadczonych twórców i humanistów.

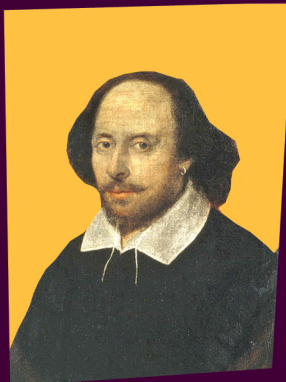
Taddeowi mijały dni na dyskusjach, graniu, tworzeniu i czytaniu, gdy tymczasem sprawy publiczne zaczęły zaostrzać się. Do papieża Aleksandra VI doszły wieści o płomiennych kazaniach dominikanina, krytykującego Kościół. I tak zaczęła się jedna z największych zbrodni, jakie odbyły się na żarliwych chrześcijanach. Tym razem zbrodnia popełniona została przez samo papieństwo. Aleksander VI wywodził się z okrutnego rodu Borgiów, i skoro z bezwzględnością traktował najbliższych, nie widział powodu, by nie obejść się tak też z dominikaninem. Na Savonaroli wymuszono zeznania okrutnymi torturami. Signoria już nie sprzyjała mu – nastąpiły w niej przetasowania i przeorientowania. Savonarola ostatecznie został skazany na śmierć przez powieszenie.

23 maja 1498 roku przed Palazzo della Signoria, dzisiejszym Palazzo Vecchio, zgromadziła się niemal cała Florencja – stutysięczny tłum, w którym byli zwolennicy i przeciwnicy Savonaroli, przybyło także bardzo dużo obojętnych czy też raczej wyczekujących jakiegoś cudu. Taddeo o tym, że ma nastąpić egzekucja kaznodziei wiedział zarówno od członków Akademii, jak i swojego ojca. Obaj postanowili zostać

w domu, choć odczuwali ogromny żal za los dominikanina.

Na szafocie byli obecni także dwaj inni dominikanie – współpracownicy Savonaroli. Ten będąc między nimi wyrzyknął ostatnie słowa: „Chrystus wiele za mnie wycierpiał”, jakby chciał oznajmić, że nie jest godzien skojarzeń, jakie zdarzenie to budziło. A miejsce tej zbrodni w istocie stało się nową Golgotą. Po egzekucji nastąpiło palenie wisielców. Spośród tłumu wykrzyknął jeden młodzieniec: „Hańba! Borgiowie niech idą do diabła!” Straż miejska ruszyła za chłopakiem, który zaczął uciekać. Biegł tak przez ulice Florencji, aż ścigany zostawił daleko w tyle straż. Nie mogąc nabrać tchu, zatrzymał się przy jednym z domów. Zakołatał w drzwi. Otworzył Taddeo di C. „Proszę cię o schronienie panie” – rzekł zdyszany chłopak. Taddeo pozwolił mu wejść, a scenę tę widział jeden ze straży, który uczestniczył w pościgu. Drzwi zamknęły się, a Taddeo wskazał chłopakowi okno z tyłu domu, przez które ten mógł uciec. Tymczasem funkcjonariusz walił w drzwi. „W imieniu Signorii rozkazuję otwierać!”. Taddeo otworzył i zobaczył strażnika – tego, którego potrącił wychodząc z kazania Savonaroli w San Marco. Funkcjonariusz zażądał wydania zbiega. Taddeo oniemiał z przerażenia sytuacją. „A to ty, z San Marco! Podać swoje imię!”. Taddeo wykrztusił z siebie

odpowieź, po czym strażnik odparł: „Pójdiesz ze mną”. Gdy wychodzili, gwardziście przemknął widok opartej o ścianę lutni.



ANGLIK
w NOWYM
JORKU.

Sobota, godzina 14:32

Wszędzie dostrzegam maskaradę. Bynajmniej nie jest to zabawa, bal. To ucieczka w bezpieczną strefę. Nie chodzi tylko o to, że utrudnia to szczerą, autentyczną komunikację. To jest problem egzystencjalny, to jest problem tożsamości, o którą trzeba bezustannie walczyć, aby nie została przysypana różnymi ideologiami. Kiedy jesteś w pełni sobą w każdej sytuacji, to tak jakbyś się odslaniał na ciosy. A nie wszystkim przecież można ufać. Ograniczone zaufanie do otoczenia – to podsuwa zdrowy rozsądek. A co jeśli staje się ktoś tym, za kogo się przebiera? Czy to nie unicestwia tożsamości, owej sobości, indywidualności? Czy to nie jest objaw choroby?

Utrudnia bycie sobą nie tylko to, że człowiek człowiekowi wilkiem, ale i (może związane z tym) tłamszenie ludzkich marzeń, zdrowych ambicji i celów – przez miernoty, niektóre instytucje, politykę itd. Zresztą i polityk, i urzędnik najczęściej też zakładają maski – pierwszy moralisty, drugi wyzbytego uczuć cyborga (a może naprawdę nim jest? A może tak bardzo zżył się ze swoją rolą, że stał się nim? Tym gorzej. W każdym razie polityk nie zrasta się ze swoją maską moralisty, bo moralność to trudna sprawa). Nie tłumienie libido i nie kultura,

jak u Freuda są źródłem cierpień, ale tłumienie woli tworzenia twórczych jednostek. Zresztą każdy rodzi się twórczy, a społeczeństwo to niszczy. Społeczeństwo nie lubi ludzi kreatywnych, bo ma względem nich poczucie niższości. To poczucie jest słuszne.

Inna sprawa, że z człowiekiem jest coś nie tak do tego stopnia, że czasem lepiej, aby jego marzenia nie spełniały się. Trafnie mówi o tym *Solaris* Stanisława Lema oraz filmy: *Stalker* Andrzeja Tarkowskiego oraz *Kula* Barry`ego Levisona. A gdybyśmy marzyli o tym, by spełniały się tylko dobre myśli, jeśli już mają się spełniać? Złych myśli nie wyplenimy. Dźwigamy w sobie zbyt wielki bagaż historii, by to mogło się stać. Zresztą całe szczęście, że historia jest w nas. Dzięki temu jesteśmy częścią świata. Na tej powszechnej tożsamości unosi się tożsamość jednostkowa, zupełnie jak świadomość na oceanie nieświadomości – jednostkowej i zbiorowej. Najbliższym pojęciem historii jest pamięć, i to Pascal słusznie zauważył, że jest ona fundamentem dla pracy rozumu.

Od dawna zastanawiam się nad tym, gdzie mógłbym być sobą, rozwinąć skrzydła. Bo tutaj jestem, jak *Albatros* Baudelaire`a. Jak to szło?

Czasami dla zabawy uda się załódze
Pochwycić albatrosa, co śladem okrętu
Polatuje, bezwiednie towarzysząc w drodze,
Która wiedzie przez fale gorzkiego odmętu.

Ptaki dalekolotne, albatrosy białe,
Osaczone, niezdarne, zhańbione głęboko,
Opuszczają bezradnie swe skrzydła wspaniałe
I jak wiosła zbyt ciężkie po pokładzie wloką

O jakież jesteś marny, jaki szpetny z bliska,
Ty, niegdyś piękny w locie, wysoko, daleko!
Ktoś ci fajką w dziób stuka, ktoś dla pośmiewiska
Przedrzeźnia twe podrygi, skrzydlaty kaleko!

Poeta jest podobny księciu na obłoku,
Który brata się z burzą, a szydzi z łucznika;
Lecz spędzony na ziemię i szczuty co kroku
Wiecznie się o swe skrzydła olbrzymie potyka

(Charles Baudelaire, *Albatros*, tłum. Wisława Szymborska).

Czy to, że jestem pół Anglikiem, pół Polakiem ma w tym względzie znaczenie? Czy ta matematyka społeczna określa mnie? Przecież jestem u siebie i w angielskim Norwich, i w Warszawie. Czy raczej ani tu, ani tam? Czy może raczej to wszystko są aporie bez rozstrzygnięcia i trzeba po prostu żyć? Raczej BYĆ. Żyją też robaki i rośliny. Ale właśnie – być to być sobą, a żeby być sobą, trzeba wiedzieć, kim się jest. Tę wiedzę zdobyłem analizując każdy aspekt zastanej rzeczywistości. Wiem, jakie miejsce w niej zajmuję, a więc wiem kim jestem. Wiem skąd jestem. Czyli znam odpowiedzi na dwa pytania z trzech z obrazu Gauguina. A co z trzecim – „dokąd zmierzam?”. Oczywiście mam mglistą, ale jednak – wizję, bardziej dalekosiężną niż Heideggerowskie bycie – ku – śmierci.

Czy to, że znam świetnie historię filozofii pomoże mi, czy raczej przeszkodzi w tym wszystkim? Oj wiercie mi, że mam materiału do gonitwy myśli. Jednak nie dopuszczam do tego, panuję nad myślami. A historia filozofii? Ona jest fundamentem do snucia własnych idei. Bez teorii nie ma praktyki. Fakt, że napisałem i obroniłem w Norwich pracę magisterską o Kołakowskim (*Metafizyka Leszka Kołakowskiego*) sprawia, że jestem tu i tam u siebie tym bardziej. Jednak. Zbudowałem tym most między swoją Polską i

swoją Anglią, czy raczej umocniłem ten, który postawił wykładający w Oksfordzie Kołakowski.

Teraz, kiedy jeżdżę metrem warszawskim i widzę te wszystkie łypiące na siebie spojrzenia, nie przejmuję mnie już to tak bardzo, jak kiedyś. Takie same spojrzenia są w Londynie, Paryżu, Brukseli itd. Nie ma złych czy dobrych narodów. Wśród każdego znajdzie się mniej więcej ten sam odsetek głupich i mądrych, zawistnych i życzliwych. No, zawistnych i nadąsanych jest więcej wśród Słowian.

Niedziela, godzina 23:15

Z moich wczorajszych przemyśleń nic bym nie ujął. Można by było rozwinąć je do pokaźnego tomu, są to kwestie ważkie. Jednak to, co ująłem wczoraj oddaje bardzo dobrze moje położenie egzystencjalne, moje bycie – w – świecie. Teraz leżę na łóżku i patrzę w róg sufitu, na którym jak na ekranie wyświetlają mi się obrazy współczesnych bolączek. Czy wyjazd w kompletnie inne miejsce byłby rozwiązaniem moich problemów? Już jako dziecko marzyłem o Nowym Jorku –

miejscu, które po drugiej wojnie światowej stało się światową stolicą kultury. Nie ulega wątpliwości, że miasto to jest tygłem, w którym istnieją obok siebie narody świata, różne światopoglądy, prądy w sztuce. W istocie, jest to miasto wolności. No i Statua Wolności była tego symbolem od 1889 roku. Dziś mało kogo wita. Czy w związku z tym jest raczej bardziej zabytkiem, niż symbolem? Pielgrzymi z całego świata dostają się do Nowego Jorku raczej samolotem lub samochodem aniżeli transatlantykiem, przez co omija ich spektakl wyłaniania się z horyzontu pani z uniesioną pochodnią.



Jest kwestia utrzymania się w takim mieście. Mieszkania są tam bardzo drogie i równie droga jest służba zdrowia. Mam trochę oszczędności – tyle na ile pozwalają moje czterdzieści jeden lat na karku. Pieniądze... nie są najważniejsze, ale one pozwalają spokojnie coś tworzyć. Pieniądze z tworzenia i na tworzenie – to ma sens i jest to nawet, przyznam, masochistyczne: twórczość to bóle ciążowe, porodowe i poporodowe; lubię napięcie związane z twórczością – bywa ono, jak u Hitchcoka. I mam przecież robotę, którą mogę wykonywać z każdego miejsca na świecie. Zresztą nowe miejsca mogą stanowić kolejne inspiracje do moich opowiadań dla redakcji.

Godzina 23:57

W chwili obecnej czuję się trochę jak bohater *Mdłości* Sartre'a, przynajmniej na początku powieści. *A propos* – Sartre był znacznie lepszym powieściopisarzem niż filozofem. Ten jego zdeklarowany ateizm. Sam przez niego przechodziłem. Zresztą przez co nie przechodziłem? Byłem religijny, byłem nihilistą, pragmatystą, później buddystą, ateistą, teraz jestem panteistą. Włosy na głowie mi posiwiały od tego całego

doświadczenia. Wiem na pewno, że ateizm powoduje w człowieku poczucie pustki i absurdalności życia. Nic dziwnego, że niektórzy egzystencjaliści widzieli życie, w ogóle wszelki byt jako absurdalne i spowite trwogą. Dojrzałem do panteizmu. Dzięki temu panteizmowi dostrzegam rękę Boską prawie we wszystkim. Tak, chyba umiem się cieszyć. A to trudna sztuka, jak z odpoczywaniem. Przecież był czas, że myślałem, że tylko dzieci czują radość życia. Do pełni szczęścia potrzebne mi autentyczne otoczenie.

„Doświadczenie” – na punkcie tego słowa świat ma fioła od XIX wieku. Doszło też słowo: „prestiz”.

Poniedziałek, godzina 00:32

Znów róg sufitu. A co przemawia za tym żeby zostać i co za tym, by pojechać na stałe do Norwich? W obu sprawach: ukorzenie. Poza tym Anglia to Szekspir, Milton, Newton, Burke, Locke, katedry z kondygnacjami akweduktowymi, National Gallery, British Museum, Tate Gallery. Polska ma historię, jakich mało, a wielkość danego kraju kreśli nie jego granica, lecz właśnie historia „Boże igrzysko” to dobre

określenie. Jednak Polska to też bezkrytyczne kopiowanie Zachodu, któremu daleko do doskonałości. Skoro tak, to po co żyć w kopii, jak można żyć w oryginale? A Anglicy to, mimo tradycji, najczęściej mało kulturalni ludzie.

Stany Zjednoczone to raczej krótka historia. Alexis de Tocqueville pisał, że to najmniej filozofujący kraj na świecie, zauważył i podkreślał pragmatyzm jego obywateli. No i właśnie! Z pragmatyzmu zrobili Amerykanie swoją narodową filozofię. To tak jak antymetafizyka też jest metafizyką.

Ale czy nie wkurzające jest to amerykańskie: „Och jak cudownie, och jak wspaniale!” – wykrzykiwane ze sztuczną autentycznością? Dlaczego jest tak „ekstraśnie, superaśnie” skoro prawie każdy Amerykanin, bezgranicznie ufając koncernom farmaceutycznym, bierze leki typu Xanax, odurza się opioidami, bierze tabletki na odchudzanie (kompulsywnie jedząc, nie czując sensu bycia)? Ich dusze są zbolełe, jak większości innych społeczeństw, więc nie jest „ekstraśnie, superaśnie”. Ale mimo to, jest to: tygiel. Na pewno pod wieloma względami fascynujący.

Przeciwni Słowianie natomiast: na ogół nie pochwalą za dobrą robotę, choć z drugiej strony widzą wszystko bezkrytycznie, szczególnie samych siebie. Jak zwykle, liczą się

tylko jednostki, społeczeństwo jest niewiele warte. Zdrady szlachty, warcholstwo. Wiedzieli o tym Wolter, Norwid, Witkacy...

Wygląda na to, że nie mieszczę się w żadnym z panujących dyskursów. I dobrze. Mogą mnie nawet, jeśli chcą nazywać w związku z tym autystyką – taka jest tendencja europejska zresztą. Przyklejanie etykiet: ktoś, kto nie godzi się z panoszącymi się ideologiami jest autystyką albo schizofrenikiem, ktoś pełen mocy twórczych – maniakiem, ktoś kto nie chce gadać z kimś, kto okazał się głupi albo onieśmielający jest ghostrerem, ktoś stosujący trudne do zgryzienia riposty jest stalkerem itd. Kiedyś tych etykiet było mniej. Melancholik, flegmatyk, sangwinik, choleryk. Potem było nawet jeszcze mniej: introwertyk i ekstrawertyk. Dzisiejsze szufladkowanie ludzi jest ich uprzedmiotowaniem przez niektórych małostkowych psychologów i psychiatrów. Zapomniało wielu z nich, że obowiązuje ich zasada *primum non nocere*. Sami miewają problemy ze sobą. Jung przed tym przestrzegał, pisał, że wybierają oni kierunek psychologii czy psychiatrii po to, by udowodnić, że wszyscy poza nimi są nienormalni. Nie każdy z nich pracuje na rzecz salus, a nawet ci co pracują, nie zawsze są genialni. Większość neurologów ,

psychiatrów i psychologów nie dorasta do Junga czy Jaspersa, Kępińskiego, Frankla. Nie każdy szalony jest geniuszem. Natomiast każdy geniusz ma w sobie choć trochę szaleństwa. Jakże dzisiaj nauka jest niewiele warta! Minęły czasy osiągnięć Kopernika, Keplera, Galileusza, Newtona, Darwina, Warburga, Panofsky`ego, Einsteina, Junga, którego odkrycia w psychologii były na miarę teorii Einsteina w fizyce. Dziś natomiast oblicza się ilość drewna w drewnie, ilość węgla w tekstyliach albo czy masło jest zdrowsze od margaryny.

Wtorek, godzina 16:48

Wstałem około dwunastej. Popisałem trochę. Pomyślę znowu sobie. Kiedy piszę też myślę. Ale jednak staram się, by było to pisanie spontaniczne, w sensie: trochę jak strumień świadomości. Słowo impresjonizm też pasuje. Kiedy wreszcie mnie docenią za to, że idę na kompromis ze społeczeństwem? I nie serwuje im już tylko rozpraw, lecz głównie opowiadania filozoficzne – o sprawach ważnych, czasem dramatycznych. Ale niestety lubi się kryminały i thrillery, bo ludziom wydaje się, że zło jest ciekawe. Otóż jest ono banalne i nudne, jest jego

przesyt. Włączasz telewizor: strzelają. Włączasz internet: strzelają. Wsiadasz do autobusu: gadają głupoty (głupota to zło jedno z największych, to najbardziej fundamentalny powód wszelkiego zła). I jeszcze do tego otwierasz sobie książkę, a tam co? Strzelają. A dramat? Dramatem jest każde życie, każde bycie – w – świecie. Na dramatyczne sytuacje potrzebne są rozwiązania – sprytne i zwinne cięcia lancetem. Po to, by dramaty nie przekształciły się w tragedie. Nie chodzi mi o fabułę, ale o przekaz. Fabuła w tekście, w filmie, melodia w muzyce, rozpoznawalność w malarstwie – tego wszystkiego to oczekuje jednak pospólstwo.

Wracam do pracy.

Godzina 22:58

Leżę. Znów róg sufitu przed oczami. I mucha. Chodzi i nie może się zdecydować. A ma trzy drogi. Toż to więcej niż hamletyzm ze swoimi dwiema opcjami. Układ współrzędnych. Sytuacja iście kartezjańska. Może polecieć na lewą ścianę – jak ja do Norwich. Albo na prawą – jak ja do Nowego Jorku. Może też latać pod sufitem – jak ja mogę zostać w Warszawie. Jakże

to wydaje się nieistotne względem powodów migracji Ukraińców. Walczą o życie. Ci co walczą, spośród tych, którzy powinni. I to jest dramat, bo powinni walczyć o bycie, egzystencję i esencję, a tymczasem to ich byt biologiczny jest zagrożony. Nie to jest dramatem, że walczą o życie, ale że nie mogą przez to wybić się ponad wartości witalne, biologiczne. Natomiast niektórzy mogą mieć świadomość, że mężnie walczą za swój kraj, bo tak w istocie jest.

Mucha poleciała na prawą stronę. I ja polecę do Nowego Jorku. Miasto, że mucha nie siada. To zresztą jeszcze się zobaczy.

Piątek, godzina 13:04

To że jestem tu w Nowym Jorku, postanowione zostało momentalnie, następne dni były uciążliwym załatwianiem spraw wokół tego. Wynajęcie niedrogiego mieszkania na Brooklynie nie należy do łatwych zadań, ale udało się. Trzeba też było brać pod uwagę przestępczość – tej jest tu mniej niż na przykład na takim Haarlemie czy Bronksie. W redakcji „Inspirations” chyba pogodzili się z tym, że będę pod wpływem nowego *genius loci*.

Ciekawe, czy to tylko krótka przygoda, czy zapuszczę tu korzenie. Mieszkanie jest fajne. Także dlatego, że ma wysokie okna i szerokie parapety, na których można wyciągnąć się i kontemplować Most. Widać, że to kamienica z początków XX wieku. Wiele takich jest zaniedbanych w Nowym Jorku i się zawalają. Ale ta wygląda na solidną. Most Brookliński, którego wieżę – pylon widzę z okien mieszkania jest imponujący. Może dlatego tak go widzę, bo wiem że stworzył go inżynier i filozof w jednej osobie. Uczeń Hegla. Wiem też, że pylony były długo najwyższymi budowlami w mieście. I te wszystkie fakty składają się na swoistą wzniosłość tego dzieła. Także to, że stworzył go i obliczył Człowiek, w przeciwieństwie do dzisiejszych konstrukcji, które obliczane są głównie przez programy komputerowe.



Kiedy otwieram okno, bezustannie docierają odgłosy syren policyjnych, karetek, straży pożarnej, klaksonów. To nieuniknione w tym mieście.

Nie będę planował zwiedzania. Niech to będzie spontaniczne. Teraz chcę przejść przez Most. A potem przechadzka wzdłuż Piątej Alei. Ha! Jednak plan. Czy da się nie planować? Planowanie to myślenie o przyszłości, która jest niepewna dla każdego z nas. To myślenie pociąga za sobą lęki i frustracje. Rafale Aleksandrze Witkowski! Nie rozgaduj mnie tak, pora żebyś poszedł.

– Tak, masz rację. Idź. Zresztą, wprawdzie jesteś fikcyjną,

ale i wolną postacią.

Jestem twoim *alter ego* czy nie?

– Miałeś już iść, William.

Sobota, godzina 12:23

Wczoraj przed wyjściem na miasto miałem dziwne uczucie, że nie jestem sam w moim mieszkaniu. No ale do rzeczy. Manhattan robi wrażenie tym, że ma dwie perspektywy zbieżne, które są dość symboliczne, zważywszy na to, jak oko w rzeczywistości porusza się; oczywiście, że perspektywa jest bardziej dynamiczna niż linearna i Ambrogio Lorenzetti miał w swoim, jednak realistycznym, malarstwie z *Alegorią dobrych rządów* na czele więcej racji, niż Piero della Francesca, który wyliczał perspektywę w sposób matematyczny. Ale o tym pisał już Pierre Francastel. Jednak zatrzymując oko na horyzoncie, widzę Manhattan zniżający się na ile to możliwe ku niemu; patrząc nieruchomo w górę widzę strzelające w wżwyż wieżowce, które chcą się połączyć w jednym punkcie gdzieś wysoko w chmurach.





Na Piątej Alei nie może nie robić wrażenia Empire State Building. Długo, bo do czasu powstania WTC najwyższa budowla na świecie. Pnące się coraz wyżej budowle zawsze były przecież symbolem statusu, jeśli nie nawet władzy. Z gotyckimi katedrami łącznie. I w istocie, Empire tak wpłynęła na umysły ludzi i na historię, że Piąta Aleja właśnie dzięki niemu nabrała znaczenia. Stała się najdroższą ulicą świata. Aleją, przez którą przechodzą parady nie tylko amerykańskie. Cztery miesiące temu odbyła się tam kolejna parada św. Patryka. Połączenie *sacrum* i *profanum*. Gdzieś w biurach wieżowców

przy Piątej wisi *Jeździec polski* Rembrandta.



Nowojorska Biblioteka Publiczna na Piątej bardzo mi się podoba. Styl *beaux – arts*, tak jak pobliskie Metropolitan Museum. Popracuję tam pewnie zresztą nad swoją książką.

Nawet muszę. Muszę, bo chcę. Spodobał mi się klimat wokół biblioteki: studenci odpoczywający na schodach, wchodzący i wychodzący – prowadzący ożywione dyskusje, pewnie na temat wykładów w tutejszym Uniwersytecie Columbia albo Uniwersytecie Nowojorskim, albo w którymś z koledżów.

Katedrze św. Patryka kłaniają się wieżowce. Znów *sacrum* i *profanum*, stare i nowe, przykład kontrastów Nowego Jorku. Zajrzałem do wnętrza świątyni. Poczulem kamienny zapach chłodu (jakże trafny opis wrażeń z kościołów odnotowany przez Antoniego Słonimskiego). Ale wizytę tę potraktowałem nie tylko turystycznie, ale i duchowo. Jak zawsze, będąc w kościele i tu podziękowałem Chrystusowi za wszystko czego dokonał, co zrobił dla świata. I to wstyd dla ludzkości, że nie dziękuje się Mu. Ciągle tylko o coś się Go prosi. Od czego nas zbawił? Gdyby nie On i nie Jego Ofiara, człowiek żyłby w bezustannym strachu przed byciem kozłem ofiarnym. Chrystus był geniuszem moralnym dlatego, że o tym wiedział. Ludzkość by się wyniszczyła doszczętnie, gdyby nie Chrystus. Dla niektórych chrześcijan bycie panteistą jest nie do przyjęcia. Jest jednak poważny związek między chrystianizmem a panteizmem. Otóż w Chrystusie skondensował się logos – racjonalność świata. Po Ofierze z Siebie na nowo stał się On

logosem, racjonalnością świata, prawami fizyki, wszechświata, moralności. Doceniam instytucje kościołów za role jakie odegrały w historii, jednak dla mnie ceremoniały są zbędne.



Na Piątej odwiedzę też Guggenheim Museum. Z zewnątrz zawsze kojarzył mi się ze statkiem kosmicznym ze *Star Treka*. Frank Lloyd Wright, jak zawsze się postarał. Nie wiem tylko czy jego organiczna architektura w tym wypadku dostosowana została do otoczenia, czy odwrotnie. Inne budynki raczej wydają się dawać mu ukłon. I słusznie. I stamtąd wychodzą ludzie bardzo ożywieni. Dyskutują zapewne o Picassach, Matissach, Chagallach, Kandińskich itd. – wszystkich tych, których powinien znać każdy kulturalny człowiek.

Ależ powrót do mieszkania był straszny. Brudne, zaśmiecone ulice. Śmierzące i zatłoczone metro. Samotny tłum. Samotność z twarzy ludzi bije po oczach, jak z obrazów Hoppera. Czy to źle? No i tak, jak na całym świecie, i tu wszyscy są wpatrzeni w smartfony.

Biorę się za pisanie.

Sobota, godzina 23:52

Pylon Mostu podświetlony. Ale myślę też o Statui Wolności. Też gdzieś tam stoi podświetlona. Symbol wolności

politycznej. *Liberty*, nie *freedom*. Wolność taka powinna teoretycznie być gruntem dla tworzenia się niezliczonych rodzajów partii w USA, tak jak społeczeństwo jest tu zróżnicowane. A jednak nie. Zawsze tu były i są tylko dwie partie. Czy dzięki temu społeczeństwo jest mniej skłócone niż w Polsce? To się okaże. Nawet tu, w systemie dwupartyjnym jest korupcja, nepotyzm, są afery itd. Tylko, że to tutaj mnie nie zajmuje, olewam to totalnie. Jestem tu, ale jednak trochę obok. Czy do czasu? Polityką interesuję się minimalnie, czyli tyle, ile trzeba, by politykierom stawiać szlabany, żebym nie musiał ich oglądać koło siebie. Gdyby ludzie w ogóle nie interesowali się tymi sprawami, politycy i możni robiliby z nami, co by chcieli.

Nie zapominajmy też o tym, że nadal jest odgrzewany podział na północ i południe. Ale to ich brocha. Chcą się ciągnąć za łby, to ich sprawa. Idę spać. Jutro Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jako pierwsze, bo urzekł mnie parę lat temu performans Mariny Abramovich *The artist is present*, jaki odbywał się tam właśnie.

Poniedziałek, godzina 23:34

Odwiedziłem Muzeum. Napuszeni, pretensjonalni ludzie,

jakich tam niemało przeszkadzają w kontemplacji. Mimo to ciągle jestem pod wrażeniem dzieł. Wszystkich, od impresjonistów po Szkołę Nowojorską. Wiele z nich znam z reprodukcji. Jednak ontologia oryginału jest zupełnie inna. Z oryginałem łączy widza mistyczna, metafizyczna więź z tematem, przedstawieniem, fakturą farby, biografią artysty, duchem czasu, w którym powstał obraz, historią, jaką przeżył. Poszedłem tam głównie dla *Broadway Boogie Woogie* Mondriana, *Lilii wodnych* Moneta, które prezentują się niczym nastawy ołtarzowe, poświęcone nowoczesności; dla Hoppera oraz Pollocka i reszty Szkoły Nowojorskiej. Pollock, podobnie jak Monet, który zresztą w *Liliach* zbliżył się do abstrakcji, malował całościowo, *all-over*, dlatego ich malarstwo jest tak doskonale zakomponowane.

Jest jednak pytanie: czy aby wszystkie dzieła Szkoły Nowojorskiej w tutejszych muzeach to oryginały? Artyści ci osiągnęli wielki sukces dwa razy. Raz za życia: w połowie XX wieku, kiedy ich sztuka była znakiem czasu. Drugi raz – pośmiertnie: pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy to znowu po wszystkich pop-artach (patrzac na obrazy Warhola zawsze chce mi się zażyć na śmierć, jak w *Wielkim żarciu* Ferreriego), performansach itd. pojawiła się moda na ekspresjonizm

abstrakcyjny. Zresztą przez pewien czas obraz Pollocka był najdroższym obrazem świata. Na tej fali popłynęli dilerzy podróbkę ich obrazów. Tutejsza renomowana Galera Knoedler zakupiła wiele rzekomych dzieł Szkoły Nowojorskiej nieświadoma tego, że są to falsyfikaty. Przecież nawet eksperci potwierdzali ich autentyczność. Trafiły z Knoedlera do licznych muzeów. Przekręt wyszedł jednak na jaw, a Ann Freedman, dyrektorka Galerii musiała tłumaczyć się przed sądem. Wygrała. Sąd skazał, i na pewno słusznie, dostarczycielkę obrazów do Galerii. Jednak Galeria musiała się zamknąć, gdyż afera ją skompromitowała w oczach świata sztuki i opinii publicznej.

Notabene co to w ogóle ma znaczyć, że w sądzie się wygrywa lub przegrywa? Sąd to nie gra komputerowa. Sąd ma dociekać prawdy, w sądzie ma się dochodzić sprawiedliwości.

Przed *Portretem listonosza Roulina* van Gogha olśniło mnie. Już dawno temu Słonimski pisał, że czasy, kiedy rzemieślnik, kupiec, robotnik i tym podobni ludzie byli filozofami odeszły daleko w przeszłość. Takim czasem była jeszcze epoka Vincenta na Gogha, który szanował sokratejskie usposobienie pana Roulin, służącego zawsze mądrą radą. Pierwszy raz skojarzyłem wiersz Słonimskiego z tym obrazem. Pewnie zadziałała ontologia oryginału.

Długo zeszło mi w Muzeum. Później poszedłem do jednego z barów na Brooklinie. Usiadłem przy ladzie. Przedemną świeciły różnymi kolorami butelki z alkoholami. Zamówiłem Budweisera. Muzyka. Kameralnie, nie za głośno. Chciałem wtedy, żeby leciała *Błękitna rapsodia*. Mogłem ją sobie odtworzyć z telefonu, jednak zlewałaby się z tamtejszą muzyką, a słuchawek nie wziąłem. *Błękitna rapsodia* Gershwina i *Broadway Boogie Woogie* Mondriana, który widziałem dzisiaj, zawsze mi się kojarzyły ze sobą. Nieporozumieniem jest zaliczanie *Rapsodii* do jazzu. Jest bliższa raczej Debussy'emu i jego impresjom. W narastaniu jest bliska nawet Ravelowi. W kawałku Gershwina słyhać impresję z całego życia Nowego



Jorku. Jaki jazz? Owszem gra tu klarnet, później trąbka. Ale od razu jazz?

Kiedy patrzę na *Broadway Boogie Woogie*, to zawsze przypomina mi się *Rapsodia* i *Taksówkarz* Scorsesego, mimo że film dzieje się na Bronksie. Dzieła łączy kontekst wojny – obraz Mondriana powstał po ataku na Pearl Harbor, wiodącym wątkiem filmu jest uraz związany z wojną w Wietnamie. Ostatnio jednak reżyser nie zrobił na mnie dobrego wrażenia w swoim filmie o Fran Lebowitz – pani jest bardzo fajna, kupiłem nawet jej książkę po obejrzeniu filmu, jednak obecność Scorsesego na planie dokumentu była zbędna. Właściwie nic nie mówił, tylko wulgarnie rechotał się. Mam przez ten pryzmat patrzeć na jego niektóre przecież świetne filmy?

Tak myślałem o tym wszystkim, aż w pewnym momencie wszedł mężczyzna w czarnym, przemoczonym płaszczu. Wyglądał, jak Sting ze swojego teledysku *Englishman in New York*. Jednakże zamówił coś innego niż herbatę. Usiadła przy jego stoliku atrakcyjna dziewczyna w czerwieni, z długimi brązowymi, falującymi włosami. Pomyślałem, że byli umówieni. Mężczyzna zamówił jej coś, nie wiem co. Pałała i zachowywała się z tym papierosem dystygowanie – lokale dla palących to zresztą rzadkość. Rozmawiali. Nie wiem o czym.

Pomyślałem przez chwilę życzliwie o Laurze i Leonie, o ich miłującej walce, walce ze sobą o siebie.

Chwilę potem zacząłem zastanawiać się nad filozofią historii. Czy historia, tak jak struktura fizyczna świata, jest matematyczna? Jeśli tak, to czy to są całki, różniczki, czy równania z wieloma niewiadomymi? Czy znalazłem się tu, w Nowym Jorku, z własnej woli, przez przypadek, czy przez ciąg przyczynowo skutkowy? Na pewno współczesnością, przynajmniej tą fejsbukową itp. rządzą algorytmy. Stały się one przeznaczeniem i opatrnością dla co niektórych. Acha, no tak, mucha miała trzy możliwości, jak w kartezjańskim układzie współrzędnych. Jestem tu przez Kartezjusza? Czy może mucha za mnie zdecydowała?!

Rozmyślając o tym i popijając piwo, nie zauważyłem, kiedy wyszedł towarzysz pani w czerwieni. Ona została i w pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały. Zacząłem snuć sobie różne domysły odnośnie jej osoby i widziałem, że ona to robi w stosunku do mnie. Myślałem: właśnie przed chwilą zerwali po długim okresie bycia ze sobą. Ale od razu uznałem, że coś było nie tak z tą teorią, skoro kobieta nie wyglądała ani na zdenerwowaną, ani na smutną. Może bezuczuciowa psychopatka? – pomyślałem. W każdym razie

przyglądała mi się i zauważyłem, że ona też snuje domysły odnośnie mnie. Ćma barowa – pomyślałem, że pomyślała o mnie. Domysły odnośnie jej osoby rozwiały się, kiedy przysiadła się do mnie i przypalając kolejnego papierosa zapytała mnie czy postawię jej drinka. „Nie przepuścisz żadnej okazji?” – zapytałem. A ona na to, że czuje się samotna i przeszła po mnie powłóczystym spojrzeniem. Ponieważ nie chciało mi się żadnych zalotów, powiedziałem jej, że przecież kobiety są dzisiaj samowystarczalne, i że samotność to nic strasznego, bo można z nią przemyśleć wiele spraw. No i jak pisał Ibsen, najsilniejszy jest ten, kto stoi sam. Poza tym sytuacja wydała mi się tak banalna, tak sztampowa, że już chciałem zapytać czy nie naoglądała się za dużo amerykańskich filmów, czy też taka właśnie jest Ameryka, ale pomyślałem w ostatniej chwili, że wyrządziłbym dziewczynie przykrość. „Wyglądasz na takiego, co za dużo myśli” – odpowiedziała. Ja na to, że z pewnością dużo, ale nigdy mi dość. „Filozof?” – zapytała. Chciałem jej na to odpowiedzieć pytaniem „czy to takie oczywiste?”, ale dałbym jej zaczepienie do gry. „Czym się zajmujesz?” – zapytała. Powiedziałem, jak jest, czyli że piszę eseje i opowiadania. „Nie boisz się, że sztuczna inteligencja cię zastąpi?”. Ręce mi opadły. Odpowiedziałem: „skoro ignoranci

chęcią polegać na sztucznej inteligencji, to ich problem; ja polegam na sobie i na niektórych osobach; nawet błąd ludzki jest więcej wart niż „prawda” programu, bo z takiego błędu można się mimo wszystko czegoś dowiedzieć o człowieku”. Dziewczyna wyraźnie zmieszała się. Zapytałem jej czego się napije. Powiedziała, że chętnie wódki z lodem. Zamówiłem. Powiedziała, że ma na imię Ethel; też się jej przedstawiłem, wiedząc że i tak do niczego nie dojdzie. „Nie jesteś stąd” – odkryła. Odpowiedziałem, że tu każdy jest skądś, Stany to młody kraj. „Jestem fotografem” – oznajmiła. Powiedziałem jej na to, żeby się nie martwiła, bo ludzkiego oka nie zastąpi żadna maszyna. Zacząłem się zbierać do wyjścia, bo zachciało mi się samotności, a ona podsunęła mi swoją wizytówkę. Wziąłem i podziękowałem. Nie odwdzieczyłem się swoją.

Cała ta sytuacja przypomniała mi trochę obraz Hoppera *Nocne marki*. Postaci na nim są samotne, trochę nawet przybite, jednak nie obce sobie, jak byliśmy ja i Ethel. Deszcz ustał i zrobił się rześki, letni wieczór. Postanowiłem pójść do mieszkania pieszo i zastanawiałem się nad tym, czym jest przyjaźń. Doszedłem do wniosku, że dwoje ludzi może nazywać siebie przyjaciółmi, kiedy nawzajem, jedno drugiemu pozwala odkryć w samym sobie to, co najlepsze i otworzyć się. Być

może gdzieś coś podobnego przeczytałem. Może. W takim razie zgadzam się z tym.

W głębi ulicy nad którą pochylały się kilkupiętrowe kamienice zaczęły wyrastać postacie. Znowu kobieta i mężczyzna. Ona najwyraźniej emocjonalnie rozchwiana, on ze stoickim spokojem. Prawdopodobnie była wkurzona za to, że facet nie pozwala wejść sobie na głowę i nie daje się wprowadzić z równowagi. Coraz wyraźniej słyszałem ją, jak obrzucała mężczyznę obelgami. Wreszcie krzyknęła: „Nawet w łóżku jesteś leniwy!”. Cóż, potwierdziła to, co wiem o naturze znacznej części populacji (i mężczyzn, i kobiet): myśli dolnymi częściami ciała, a nie głowami. Po takim tekście od kobiety, na miejscu owego stoika, poszedłbym do kogoś, kto doceniłby mój potencjał. Skręciłem w boczną ulicę i pomyślałem, że jeżeli tak miałyby wyglądać moja znajomość z dziewczyną w czerwieni, to wolę być sam. Zawsze wiedziałem, że wśród kobiet jest trochę Dalil, swego rodzaju modliszek – archetypicznych pind bez honoru, których ofiarami są Samsoni. Podarłem wizytówkę.

Czwartek, godzina 22:45

Siedzę na parapecie w swoim mieszkaniu i myślę o

filmie *Oppenheimer*, który widziałem wczoraj. Film stulecia – zgadzam się. Choć od początku wiadomo było, jak potoczą się niektóre wątki, film trzyma w napięciu od pierwszego do ostatniego ujęcia – zarówno dzięki psychologii bohaterów i ich relacji, jak i obrazowi oraz muzyce. No i polityka, która próbuje niszczyć wybitnych ludzi. Prometeusze, tacy jak Oppenheimer, te najwyrazistsze egzemplifikacje Heideggerowskiego *Dasein*, zawsze miały przerąbane. Miałyby bardziej, gdyby nie Ofiara sprzed dwóch tysięcy lat. Zbawcę od dalszej wojny: Oppenheimera i Zbawcę od komunizmu: Karola Wojtyłę po jego śmierci, ich ziomkowie potraktowali podobnie. Maluczcy nie chcą czuć zobowiązań wobec geniuszy. Bo tak trzeba nazwać Oppenheimera. Przyczynił się wprawdzie do śmierci i cierpienia wielu niewinnych Japończyków, jednak za to odpowiadają ówcześni włodarze, także japońscy, którzy zaangażowali się w pakt Państw Osi i wojnę po stronie zła.

Czwartek, godzina 22:40

Po trzech miesiącach życia tutaj przyszedł czas na podsumowanie. Dojrzałych drzew się nie przesadza? Bez

przesady. A kiedy miałbym podjąć dojrzałą decyzję? Nie w tym rzecz. Sprawa ważniejsza: nie ma tu dla mnie podatnego gruntu na zapuszczenie korzeni. Sam beton i szkło – dosłownie i w przenośni. I w dodatku naprawdę myślę, że to mucha za mnie zdecydowała. Nazbierałem tu tematów, to prawda. Dowiedziałem się głębiej, czym jest amerykański pragmatyzm. Jednak sztuczność tu taka, jak wszędzie, może nawet większa. A już największa plastikowość to Times Square. Cały ten *spectacular* wygląda jak z *Łowcy androidów*, filmu o sztuczności zresztą, i to bardzo dobrego filmu, w którym androidy miewają więcej autentyzmu niż wielu ludzi. Wszystkie te świecidełka Times Square są fasadą – Kantowskim *fenomenem*, za którym kryje się *noumen*: wielkie medialne interesy garniturów, nadziewanych medialnymi panami życia i śmierci (jak im się zdaje), twórcami encyklopedii zła. To o takich śpiewał Hendrix: „Businessman there, drink my wine”. Strzelam do muchy z armaty.

Jeśli USA są oryginałem, to raczej odbitką limitowaną i podkolorowaną, fascynującą pod wieloma względami, lecz jej matrycą jest Anglia.

Warszawa to jednak nie kopia, ale Zachód 2.0.



Będąc w sklepie, by zaopatrzyć się na najbliższy czas w jedzenie, widziałem chłopaka – może szesnastoletniego, któremu zza połów kurtki wystawała broń. Ten fakt nie przyczynił się pozytywnie do moich bilansów o tym miejscu.

Piątek, godzina 17:23

Dzisiejszy e-mail od siostry jest, jak rozgniecenie muchy. Kate najwyraźniej mi wybacza zostawienie jej samej nie

tak długo przecież po śmierci rodziców. A zresztą nie jest znowuż taka sama – ma chłopaka, starszego. Dba o nią. Ja też o nią dbałem, kiedy dorastaliśmy. Ja wyruszyłem za inspiracjami w świat, ona została studiować malarstwo. Mamy wiele wspólnego. Obojga nas fascynuje prawda, dobro, piękno i mówimy o tym otwarcie, na przekór trendom, ideologiom i tym podobnym. Liczba „trzy” jak owe trzy wartości ma swoją długą historię. Trzy sita Sokratesa; trzy największe umysły ludzkości: Sokrates, Platon, Arystoteles; Chrystus ukrzyżowany w wieku trzydziestu trzech lat; Święta Trójca; Niebo, Czyściec, Piekło; trzy cnoty teologiczne: Wiara, Nadzieja, Miłość; trzech największych pisarzy średniowiecza: Dante, Boccaccio, Petrarca; trzech największych artystów wszech czasów: Leonardo da Vinci, Michał Anioł Buonarotti, Rafael Santi; trójpodział władzy, trzech muszkieterów; trzech wieszczów polskich; *Trzy siostry* Czechowa; *Trzej towarzysze* Reamrque'a; trylogia Kieślowskiego; trzech tenorów; *Tryptyk Rzymski* Wojtyły. Można by tę listę rozwijać. Na przykład o trzy wymiary przestrzeni, w której znalazła się mucha.

Kate napisała, że mój dom jest w Norwich. Tak, mam dwa domy – drugi w Warszawie. Mój ojciec Anglik, którego prababka była Polką, moja matka – Polka czystej krwi.

Matematyka społeczna. Który dom jest pierwszy, można obliczyć. Jest jeszcze jeden – ten intelektualny – w Grecji, w tej kolebce europejskiej myśli.

Niedziela, godzina 02:12

Priveszy raz zobczyłem trupa wtakim stiane. Rowzaklona twarz. Smaochód. Piks opon. Stzrały. Znwou pisk opon. Uicejąkący luzdie. Zineuczlica – poszedłem do trupa tylko ja. Zobczyłem, że nie d aise pmoóc, więc nie zazdzownielm do służb. Nie chcę być w roli śiwakda. Nwajryźniej prochaunki mfaii, albo gnagów.

Sobota, godzina 10:32

Pozbierałem się do kupy dopiero we wtorek. Na szczęście przyszła mi myśl, że dla bilansu gdzieś pewnie ktoś zrobił coś dobrego w świecie; dzięki temu *kosmos* jakoś się nie rozwała. Przypomniiał mi się *apropos* tego jeden z wykładów profesora Władysława Stróżewskiego. Stopniowo zacząłem

działać. Podjąłem się opuszczenia mieszkania. Załatwiłem bilet. Był na czwartek. Spakowałem się następnego dnia. Nie przybyło mi wiele rzeczy – nie cofnąłem się do epoki zbierackiej. Spoglądając ostatni raz na most Brookliński, doznałem uczucia metafizycznego, jakie zdarza się dzieciom, kiedy nie zdają sobie sprawy, czym to uczucie jest i jak ono jest ważne; poczułem do głębi, że ja to ja, a przecież mogłoby może być inaczej. Ze smartfona sączyła się *Błękitna Rapsodia* i przeszło mi przez myśl, że prawdopodobnie wielu w tej chwili słucha tej muzyki, myśli o podobnych rzeczach, a ja to ja. Przed odlotem złożyłem klucze na ręce właścicielki mieszkania. „Dokąd ci tak śpieszno, młody człowieku?” – zapytała. „Do domu” – odpowiedziałem. „Do którego?” – dopytywała, bo trochę się poznaliśmy wcześniej. Ja na to, że do pierwszego. „Czyli?”. „A to już jest kwestia skomplikowanej matematyki”.

@vle

bitwy

Blejtram sto na pięćdziesiąt centymetrów. Płotno zagruntowane na białe. Biel według Kandinsky'ego to kolor nicości przed narodzinami; czerni określił jako nicość po śmierci. Większości wydaje się, że bitwy toczą się jedynie na rozległych polach. Ci, co mówią o bitwach w kontekście sztuki uważają, że tylko tacy ekspresjoniści, jak van Gogh czy Munch, czy później Pollock, Basquiat, którzy walczyli na płótnie o swoją integralność psychiczną, tacy fowiści jak Matisse czy Derain podejmują walkę z oporem materii, formą, własnymi emocjami. To prawda, że ich twórczość jest *par excellence* wojownicza, a dodać do nich trzeba też niepozornego Cézanne'a, który choć intelektualizował wiele swojej pracy (choć paradoksalnie nie lubił teorii), do każdego z obrazu przygotowywał się, jak na bitwę. A i wiadomo, że do wojny potrzebne są nie tylko pieniądze, ale i rozum, co skodyfikował zresztą Clausewitz.

Na tym płótnie sto na pięćdziesiąt centymetrów rozegra się bitwa o formę, kolor, o uchwycenie wrażenia. W tym wszystkim wezmą udział i chłodne kalkulacje, i emocje – niekiedy sprzeczne, i myśli, które także będą uderzać jedna o drugą.

A to Leon, który rozstawia sztalugi i przybory do malowania w ogródku domu położonego na zachodniej stronie

Santorini. Będzie malował stąd widok na miasto Fira. Ogródek, jak blejtram, jest nieduży: około trzydziestu metrów kwadratowych. Jak wiele innych na wyspie, tak i on jest bez kątów prostych, z bielonym, jak cały domek, ogrodzeniem. Na tamtym okrągłym stoliku z blatem z litego drewna stoi kobaltowy, przezroczysty wazon, na razie bez kwiatów, choć już wraz z pomarańczowawym odcieniem drewna blatu tworzy kontrastową, a jednocześnie harmonijną kompozycję. „Dopełniające kolory. Jacyż to łebscy ludzie doszli do opracowania koła i sfery barw na podstawie obserwacji praw kolorów w naturze” – myśli w tej chwili Leon.

A! Wychodzi z domku na ogródek Laura – nie tyle druga połówka Leona, co drugi obok niego żywioł. Leon jest, jak powietrze, które wszystko chce ogarnąć; Laura to ogień. Ogień nie może istnieć bez tlenu w powietrzu, ale i światło ognia Laury pozwala Leonowi lepiej widzieć. Tlen jednak się spala, a ogień gaśnie – tak można podsumować ich większe i mniejsze awanturki.

Wkłada kwiaty w wazon. Żółte lilie.

– Właśnie stworzyłaś doskonały akord barw. Kandinsky by się nie powstydział

– Jesteś skrzywiony – odparła Laura z lekkim uśmiechem i

wcale tak nie myślała, ot złośliwostka, jedna z setek.

– Uwielbiam jak mi tak dopiekasz. Nie rozpraszaaj mnie jednak.

– Żartowałam. Tak naprawdę podoba mi się to, że dostrzegasz takie rzeczy.

Laura spełniła prośbę Leona, który zaczął właśnie przygotowywać paletę. Biel, dużo bieli. Zresztą zawsze idzie dużo białej farby. „Ten obraz musi być jak symfonia bieli. Ileż tu jej odcieni, a poza tym biel ciepła, biel chłodna. Trzeba tu Utrilla albo Sisleya” – pomyślał. Dalej błękit ftalowy i ultramaryna – tu na Santorini to podstawa. „To dziwne, że większości wydaje się, że błękit to rozbielony niebieski” – myśl ta wywołała lekki uśmiech u Leona. Trochę ugry, sjeny palonej, czerwieni do niej. No i żółta. Leon zaczął od zarysowania ukośnej linii brzegu sjeną paloną. Kiedy była gotowa, zaznaczył to niebiesko – zielonkawym, to ugrowym, to lekkim fioletem wzgórza na horyzoncie i te w bliższym planie za kopułą kościoła. Tak wytworzyła się perspektywa powietrzna. „Ileż to zawdzięczamy Leonardowi da Vinci” – myśli Leon *a propos* perspektywy powietrznej, której zasady skodyfikował mistrz renesansu. Różnymi błękitami zaznaczył cienie zabudowań z lewej strony i w centrum, kopułę kościoła. Na światła

pozostawił biel gruntu płótna, gdzieniegdzie dodając żółtego. Dodał zielonego listowia i zabrał się za wypełnianie kolorem powierzchni z morzem z prawej. Woda miejscami ma ultramarynowy, miejscami ftałowy błękit, miejscami fioletowawy i zielonkawy kolor. Trzeba jeszcze wypełnić pole z niebem i poczekać do jutra aż podmalówka podeschnie. Żeby schnięcie było szybsze, Leon użył do rozcieńczania farby oleju lnianego z werniksem żywicznym. Medium to dodaje jednocześnie większej głębi i klarowności barwom.



- Na dzisiaj skończyłem. A ty nad czym pracujesz?
- Piszę artykuł do czasopisma. O Józefie Czapskim. – Laura jest historykiem kultury – Ty też byłeś bardzo skoncentrowany na swojej pracy.

– W mojej głowie toczyła się właśnie bitwa. Trzeba było odrzucić precz wszystkie troski i chwycić wrażenie.

– Czyli odstąpiłeś od planowania obrazu, zresztą nawet szkiców nie robisz do niego. Czyli idziesz za impresjonistami. Czy to będzie trwała postawa? – w głosie Laury daje się wyczuć życzliwy ton.

– Myślę, że będę szedł jeszcze w wielu kierunkach. Ale czy ten mój impresjonizm nie jest wykalkulowany, to wątpię. Mam, podobnie jak ty, setki obrazów impresjonistów, postimpresjonistów, neoimpresjonistów w głowie. Mamy oboje je przeanalizowane.

– A wiesz, że w ankiecie, jaką stworzył mój kolega z redakcji, na temat preferencji i odbioru sztuki, impresjonizm jest najwyżej stawiany przez ankietowanych. Zabawne jednak jest to, że ci co wybierali impresjonizm jako ulubiony kierunek, wybierali także wartość intelektualną sztuki jako dla nich najważniejszą.

– No tak, impresjonizm przecież nie jest intelektualny. Aczkolwiek wykorzystywał osiągnięcia naukowe, jak teoria barw Chevreula.

– O! *A propos* teorii barw, jak ci idzie lektura

Wittgensteina? Nie uważasz, że więcej w niej pytań niż odpowiedzi?

– Zgadza się. I dlatego jest to książka bardzo filozoficzna. Zresztą czy można dawać kategoriycznych odpowiedzi na cokolwiek.

– Pokłócimy się teraz trochę, dobrze? A zatem, mój drogi. Od kiedy jesteś relatywistą? – to po pierwsze. Dalej: Wittgenstein przyniósł wiele szkód filozofii, twierdząc że wszystkie problemy filozoficzne są kwestią gry słownej, a problemy metafizyczne są pseudoproblemami. Zabawne, że sam niejednokrotnie „popadł” w metafizykę. Jednak przez takie stwierdzenia on i cały neopozytywizm dobitnie przyczynili się do degrengolady duchowej wieku XX.

– Laura! Chcesz kłócić się, to kłóć się sama ze sobą, bo ja z tobą w pełni zgadzam się w każdej z tych kwestii, oprócz pierwszej – że stałem się niby relatywistą. Mało tego! Cieszę się, że wszelkie odmiany pozytywizmu odchodzą po mału do lamusa. I kochanie, świat jeszcze będzie szukał metafizyki na nowo, jak lekarstwa na raka! A relatywistą nie jestem, tylko uważam, że rzeczy poznaję aspektowo, jak każdy, tylko ja umiem się do tego przyznać przed sobą.

Po tym, co Leon powiedział, Laura poczuła się – co tu dużo

mówić – zadowolona.

– Wittgenstein dużo rozmyślał o bieli, ja dzisiaj też, ale to zupełnie inne rozważania niż jego. Zapytywał ,jak by wyglądała przezroczysta biel. Na to pytanie przyniosła odpowiedź dopiero grafika komputerowa. Idziemy do tawerny?

- Znów będziesz wlewał w siebie piwo?
- A jak. Dwa alkoholowe, reszta zeroprocentowe.

Dzień II



Jak zawsze, jest tu piękna pogoda. Ta sama godzina przedpołudniowa. Ciepłe promienie słońca otulają kopułę kościoła, ślizgają się po ścianach nieregularnego labiryntu miasta. Tworzą się harmonijne kontrasty temperatury barw:

błękitnego cienia i blado żółtego światła.

– Dzisiaj wydobędę bryłę kościoła z wczorajszego ogólnego zarysu

– Arystotelesowska dedukcja, od ogółu do szczegółu.

– Tak. Michał Anioł wziął sobie do serca jego logikę i to z jakim efektem. A poza tym chcę, żeby oko zmierzało po linii skał z prawej i po budynkach z lewej wprost na kopułę. Wreszcie mogę nakładać modelunek światłocieniowy.

Wydobywając kształt kościoła, Leon dostrzegł jak różne błękity gnieżdżą się w cieniach budowli. Ileż to trzeba się naszukać odpowiedniego tonu.

– Szukam ciepłego tonu światła i chłodnego tonu cienia. Całość jednak, mimo przewagi błękitu musi być ciepła jak ten klimat.

– Dużo też artykułujesz myśli mową. Rób nie gadaj. Ja zresztą też wtedy będę mogła robić – Laura nadal pracuje nad artykułem.

„Muszę też znaleźć odpowiedni, głęboki ton wody. Ultramaryna. Nie. Mniej ultramaryny, więcej błękitu fiałowego, dodać bieli. No nie. Trzeba czekać, aż wyschnie i szukać dalej.”

„Dodam zieleni liści z lewej na dole – to zacznie tworzyć

pierwszy plan lewej linii ukośnej, współprowadzącej do kościoła”

„Wzgórza na horyzoncie mają więcej ugru wpadającego w błękity i fiolety, trochę błękitnej zieleni. Biel zabudowań na wzgórzach na horyzoncie stanowić będzie tło podobrazia – to nada lekkości temu co dalekie”

– Ciągłe szukam greckiego tonu.

– Uda ci się w końcu.

– Makowski szukał przez lata swojego poważnego tonu do tematów dziecięcych. Znalazł go wreszcie w brązach. Czy to nie malarstwu holenderskiemu i Makowskiemu zawdzięczamy widzenie historii, dokumentów, powagi różnych spraw właśnie w brązach? Na przykład starówka w Warszawie ma brązowe tablice ulic.

– Niestety nazizm był też brunatny i to psuje mi widok.

– No nie! Po co wtrącasz politykę? Faszystom i nazizmowi jednak nie udało się zawłaszczyć myślenia o historii, choć tego próbowali.

– Tak i mieliśmy komunizm z określonymi prawami dziejów.

– Jesteś niemożliwa! – wykrzyknął, choć wiedział, że ma

rację, jednak inny był kontekst rozmowy.

Ale to tylko drobne uszczypliwości. Laura wróciła do pisania, Leon przyglądał się kolejnemu etapowi swojej pracy oraz widokowi – wzorowi. Zmęczyła go jednak myśl o tym, jak dużo pracy jeszcze trzeba, by uzyskać zamierzony efekt. Czyli jednak kalkulacja, skoro ma być zamierzony! Kalkulacja mimo podejścia impresjonistycznego! Spojrzał na Laurę.

– Wyglądasz bardzo uwodzicielsko z z tym koczkim i spływającymi lokami. Mam nadzieję, że chcesz mnie dziś uwieść.

Laura się roześmiała. Leon w tym momencie czuje się zbity.

– Najpierw zrzuć ten brzuch, pączusiu. Wy faceci nie możecie przyjąć do wiadomości, że chcemy czuć się ładne same dla siebie.

– Tak chcecie czuć się ładne, że wiele z was próbuje kraść na potęgę w sklepach z ciuchami. – Leon wie o tym z pracy ochroniarza w centrach handlowych, jaką kiedyś wykonywał i postanowił tym odparować ciosy.

– Idź wlej w siebie piwo.

– No właśnie idę. Twoje koleżanki głupio wpływają na

ciebie i może powinnaś sobie znaleźć jakiegoś Petrarke, który by sonety o tobie pisał.

– Po co mi Petrarka, skoro mam Leona zawodowca, który mnie namaluje.

– To się zobaczy!

I poszedł w stronę kościoła, który maluje. Przemierzając labirynty uliczek, muska dłonią ściany, by poczuć ich temperaturę i fakturę. Zżywa się z tematem. „Do malowania budynków użyję szpachli.” – postanowił.

„Laura to dobra kobita. Dziś wypiję tylko jedno plus jedno. Dziwnie argumentuje w kłótniach, ale poza tym uczciwa”.

Dzień III



- Chyba nie mówiłem ci dlaczego wybrałem taki format
- To jasne, dlatego że jest panoramiczny.
- Nie tylko. To jest format, jakiego długo używał van Gogh. On natomiast zainspirował się proporcjami obrazów Daubigny`ego.

- Faktycznie, *Pole z krukami* ma ten format.

- No na przykład. Ależ na tym obrazie Vincent walczy! Już nie tylko o kolor, o formę, z materią, ale i o życie.

- To jeden z jego ostatnich obrazów. Przemawia za teorią o samobójstwie van Gogha. Samo patrzenie na niego obala wszystkie nowe wymysły.

Wrócili do pracy.

„Głębszy błękit morza! Perspektywa powietrzna, pierwszy plan. Plany w obrazie nadadzą mu głębi”

- Ależ ta zieleń liści jest uciążliwa. Trochę obca, kiedy ją rozjaśniłem. Dodam oranżu punktowo między plamy, jak by doradzał Johannes Itten. Przepraszam, że tyle gadam. Ty nie musisz, bo pracujesz właśnie nad słowami, a ja też muszę artykułować swoje myśli w słowach.

Laura spojrzała na Leona zza laptopa.

- Wiesz, że William nie zostaje jednak w Nowym Jorku?

Leon wstrzymał dodawanie oranżu do liści i odparł z lekką niecierpliwością.

– Nie chcę zabrzmieć obcesowo, ale co mnie w tej chwili obchodzi William? Teraz jesteśmy tu dla siebie, ja dla ciebie, ty dla mnie. Jesteśmy tu też dla naszej pracy.

Laura lekko uśmiechnęła się, bo słowa Leona wydały jej się rozsądne i wróciła do swojego artykułu. Leon już miał zacząć malować dalej, ale wydusił z siebie:

– Kiedy my się ostatnio kochaliśmy?

Laura pokiwała głową.

– No właśnie Leon, bardzo dawno temu. To co robiliśmy ostatnio, to nie była miłość, tylko piep...

– ...rzenie. O przepraszam, to nie tylko moja wina. Byłaś zimna, jak sztuczne ognie.

– Myślę, że zadziałało tu sprzężenie.

– I ja tak myślę.

Dzień IV



– O, widzisz, teraz powstał trójkąt o bokach z wyłonionych zabudowań z lewej, zejścia do morza z prawej, wierzchołek stanowi kopuła kościoła.

– Tak widzę, że teraz jest głębia, podział na plany. Ten żółty na kopule dodaje greckiego tonu, o jakim mówiłeś.

– Jeszcze poczekajmy na grecki ton. On się musi wyłonić już jutro. Ale mnie denerwuje ciągle ta zieleń. Niby spowinowacana i z błękitem, którego tu pełno, i z żółcią, która też jest, a jest ta zieleń ciągle obca.

Leon wpatrywał się w krajobraz i wreszcie wie, jak osiągnąć grecki ton.

– Dodam lekkiego fioletu do nieba. Przecież niebo greckie jest fioletowawe.

– Dobrze kombinujesz. Ja opisuję relacje Czapskiego z Giedroyciem.



Dzień V

– Wiesz Laura, że kiedy się drugiego dnia tutaj pokłóciliśmy, poszedłem doświadczać namacalnie i we wszelki możliwy sposób z bliska to, co teraz maluję. Postanowiłem wtedy, że użyję szpachli do oddania faktury fasad, tynków, murów. Dużo tam różnych bieli, światła i cieni w różnych temperaturach.

– Używasz szpachli do różnych tematów, więc to dla mnie żadna nowina.

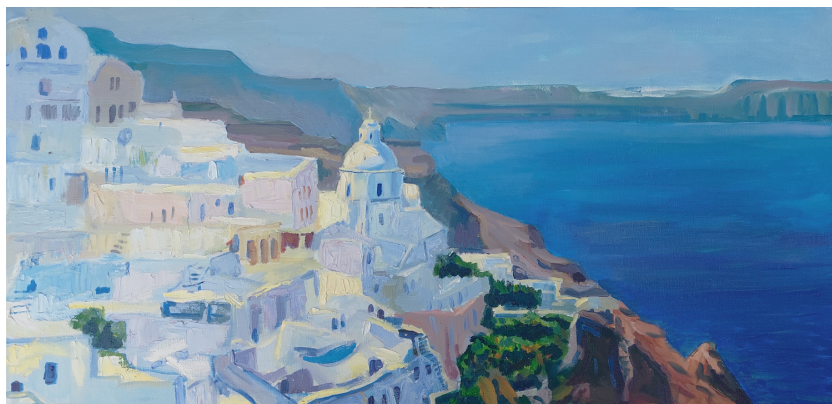
Praca nad tym trwała dwie godziny. Wyłaniać się zaczęły budynki ponad linią lewego boku trójkąta. Wrażenie głębi pozostało przez niedokończenie ostatniego planu.

– No to mam problem Lauro. Muszę zachować głębię obrazu, a jednocześnie go zunifikować. Jedność może być zatracona przez głębię, a głębia przez unifikację.

– Przypomnij sobie unizm Strzemińskiego. Tyle mogę pomóc.

– Tak. Zajmę się tym jutro. Ci co malują obraz kawałek po kawałku, zamiast całościowo, gubią jedność i spójność obrazu.

Dzień VI



Tym razem nic nie mówili do siebie. Każde było

pochłonięte swoją pracą. Trwało to znowu około dwóch godzin, aż wreszcie Leon wydobył z siebie:

– No uwaga, jest cienka granica między starannością a przemęceniem tematu. Już nie dotykam się do obrazu. Nie chcę żeby to była impresja, jak *W altanie* Gierymskiego i żeby ktoś o niej powiedział to, co ojciec Witkacego powiedział o obrazie Gierymskiego.

– Tak, obraz ma świeżość i lekkość. Zostaw go w spokoju. Poza tym złamałeś zieleni i dobrze, zachowałeś głębię przy jedności. No i uchwyciłeś grecki ton!

– Tak. Ale, daleko mi do takiego Sisleya, Daubigny`ego.

– Mogę się z tobą kłócić czasem, ale nie pozwolę ci się samego siebie katować. Ja mam monopol na uszczypliwości, pamiętaj. A zatem, zważ że jesteś inaczej uwarunkowany niż tamci dwaj. Dorastałeś pod innym niebem, studiowałeś inne książki, także te, których oni nie mogli studiować z racji chronologii. Masz w głowie obrazy kubistów, fowistów, ekspresjonistów, których tamci nie mogli znać. Wyciągnąłeś inne wnioski z innych przesłanek. Nie możesz być taki, jak Sisley, bo jesteś sobą, a to co robisz zawsze będzie inne. To twój autentyzm, autonomia.

– Wolę jednak słowo „inspiracja”, zamiast „uwarunkowanie”.

– Ach wy artystyczne dusze, dla których wolność jest tak ważna.

– No dla ciebie też jest ważna, dlatego nie ograniczam jej. I te schodki są, jak u Piranesiego.

– U niego były mroczne lub fantazyjne, u ciebie są niebiańskie. Powiedz Leon coś o malarstwie Czapskiego

– Walczył na płótnie przede wszystkim o kolor, tak jak też walczył o sprawę polską.

– Kocham cię misiaczku.

– Wiem. I ja ciebie kocham, moje chucherko.

– Chodź Leon napić się piwa.

– Chętnie, ale tylko jedno.

Wpiął żółtą lilię w jej włosy.



RESUNA

Na wyspie Resuna (*Res* – rzecz, *unus* – jedna) na Atlantyku panuje maksymalna równość, bo jej mieszkańcy nie mają płci. Wyplenienie popędu i wszelkiej namiętności spowodowało, że nie ma tam konfliktów, jakie rozgrywają się w zwykłym świecie, w którym mężczyźni kłócą się z kobietami i o kobiety, w którym jest żądza władzy podsycana przez libido; w którym mężczyźni wywołują wojny, a i są kobiety, które potrafią tym faktem grać, a nawet to wykorzystywać.

Resuna to miejsce, w którym panuje duch współpracy, spokój i myślenie wyłącznie o przyszłości.

Wszystko to bardzo piękne, ale...

Bezpłciowość obywateli Resuny jest efektem inżynierii genetycznej. Choć mają pęпки, jak mężczyźni i kobiety, nie rodzą się, lecz wychodzą z kapsuł, które wypełnione są wszystkimi niezbędnymi płynami do odżywiania przez pępowiny bezpłciowych ciał. Poczęcie odbywa się zatem laboratoryjnie, a okres embrionalny odbywa się w wielkich halach pod stolicą – Arką. Wydostanie z kapsuły dziecka następuje po dziewięciu miesiącach. Przydzielony mu zostaje numer, który będzie miał do końca swych dni. Do drugiego roku życia karmione jest mlekiem sojowym z butelki przez państwowych pielęgniarki. W wieku trzech lat przydzielony mu zostaje opiekun i wychowawca w jednej osobie, który nadaje podopiecznemu imię. Idzie do szkoły, gdy ma siedem lat. Zasadniczo uczy się do dwudziestego szóstego roku życia, jednak doskonalenie zawodowe wymagane jest do końca aktywnego życia, czyli do osiemdziesiątego roku. Edukację zdobywa się w dziedzinach: medycyna z biologią, matematyka, inżynieria, informatyka. Nie ma edukacji historycznej, humanistycznej, filozoficznej, a książki dotyczą wyłącznie wymienionych kierunków oraz tematyki przyszłości. Kształcenie do jednego z wymienionych zawodów zaczyna się w wieku lat szesnastu, do tej pory zdobywa się podstawową

wiedzę ze wszystkich dziedzin. Na Resunie nie znana jest sztuka ani jej pojęcie. Zatem nie ma też muzyki, która przecież według Arystotelesa łagodzi obyczaje, o czym założyciel, który zresztą jest świetnie wykształcony (komu innemu udałby się taki eksperyment?) powinien wiedzieć. Wie jednak, że sztuka bywa zaczynem przewrotów, o czym pisał już Platon.

System kształcenia, a właściwie całe życie na wyspie obliczone jest na przyszły podbój kosmosu. Stąd Rada Dwudziestu Resuny ogłasza co pół roku dla obywateli powyżej dwudziestego szóstego roku życia konkurs na wizję przyszłości. Nagrodą za najlepszą z nich jest realizacja pomysłu, dlatego wizja musi być realistyczna.

Resunanie mają niemal identyczne geny, żyją tyle samo lat (między sto pięć a sto piętnaście), jeśli nie zapadną na jakąś poważną chorobę. To ryzyko zostało jednak zbite do minimum przez manipulacje genetyczne. Istoty te nie mają zarostu, są przystojni i dobrze zbudowani, mają twarze dziewczęco – chłopięce. Nie mieli piersi, ani narządów płciowych oczywiście. Konfliktów generacyjnych też nie ma, bo te wynikają głównie ze światopoglądów, a ich Resunanom brak. Mogłyby istnieć wojny na tle różnych wizji przyszłości, jednak zapobiega temu demokratyczne, jak się wydaje, wyłanianie ich przez Radę

Dwudziestu.

Każdego dwudziestodwulatka odłącza się od opiekuna i narzuca się mu samodzielny tryb życia. Najczęściej jest to bolesne dla obu stron, bowiem podopieczny i opiekun zwykle czują zażyłą więź. Takie są jednak zasady konstytucyjne wyspy. Zresztą założyciel i naczelnik Resuny pracuje już nad tym, by także te emocje wyrugować. Pragnie, by posługiwano się wyłącznie chłodnym intelektem. On, człowiek płciowy, wie z filozofii Hegla, że namiętności są zacyzmem historii. Historii, w której dominowały wojny. Takie rzeczy, jak zawiść, nienawiść, agresja udało się mu wyplenić. Jednak pozostała jeszcze дума, na przykład z osiągnięć w konkursach Rady Dwudziestu. Uważa to za niepotrzebny balast, który według niego bywa również niebezpieczny.

Naczelnik stworzył odrębny język: unatę. Ma wiele zapożyczeń z łaciny, co było nieuniknione, gdyż jego twórca myśli, jak Europejczyk, będąc nim zresztą. Konkretnie mówiąc Niemcem.

Założyciel ukazuje się obywatelom tylko na ekranach. Postpolityka odbywa się tylko przez wideokonferencje.

Pytania bardziej dociekliwych młodych Resunan dotyczące ich pochodzenia zbijane są przez zindoktrynowanych

wychowawców ewolucją i genetyką. Mówi się, że stary świat został pogrzebany przez wojnę nuklearną. Świat ten został tak zdemonizowany, że nie chce się tam wiedzieć o nim nic więcej, Zresztą myśli się na Resunie tylko o przyszłości. Nazwa ich gatunku to homnici. Taka jest oficjalna ideologia. A jaka jest prawda?

Na wyspie zgodnie z zamysłem naczelnika nie ma zwierząt, ponieważ przywodziłyby na myśl rozmnażanie, a więc seksualność. Resunanie żywią się roślinami oraz rybami. Panuje zakaz wypływania dalej niż na dwa kilometry od wybrzeża. Jeśli ktoś spróbowałby przekroczyć tę granicę, trafiłby pod sąd. W konstytucji jest napisane wyraźnie, że Resunanie mają troszczyć się wzajemnie o swoje zdrowie, a wypłyniecie na skażony radioaktywnie ląd przyniosłoby wszystkim bolesną śmierć, groziło by wyginięciem gatunku. No więc powtórzmy pytanie: jaka jest prawda?

Naczelnik wyizolował wyspę przed światem, który wcale nie zaznał wojny nuklearnej, i który ma się względnie dobrze. Trudno mu było jednak kontynuować eksperyment, gdy wyszedł on oczywiście na jaw. Obserwowano jego działania i określano je jako szalone. Większość uznała go za samozwańczego demiurga, jednak pojawili się też tacy, którzy widzieli w

przedsięwzięciu ciekawy eksperyment. Ale dla założyciela wyspy to coś więcej niż eksperyment. Nie tylko ma ambicje podbicia kosmosu, ale jest to dla niego sprawa honoru. Świat w końcu zapomniał o Resunie i postludziach, część podtrzymywała, że to nawet ciekawe, a nawet słuszne.

Trzeba zadać pytanie: skąd wziął na to wszystko środki i w jakim celu to robi. Otóż naczelnik nazywa się Friedrich Hedl i jest prawnikiem esesmana. Wstydzi się swoich korzeni. Wstydzi się ludzkości w ogóle, za totalitaryzmy, despotyzmy itd. Postanowił stworzyć świat bez wojen. Pieniądze czerpie z fortuny swojego dziadka, jakiej ten dorobił się na zrabowanym podczas drugiej wojny światowej złocie.

Hedl występuje na ekranie, jednak nie jest to jego prawdziwy wizerunek, lecz sztucznie zmodyfikowany przez komputer. On nawet nie przebywa na swojej wyspie, lecz steruje wszystkim ze swojej ukrytej posiadłości w Argentynie, w której żyje ze swoją kobietą Angellą. Ona podpowiada mu czasem co i jak robić, a Hedl jej słucha, ponieważ nie musi podejrzewać Angeli o intrygi, bo przecież sprawa dotyczy istot bez płci. Zresztą ona jest rzeczywiście całą sobą za powodzeniem przedsięwzięcia.

Technologia Resunan jest siłą rzeczy bardzo

zaawansowana. Mimo, że naukowcy na wyspie pracują nad coraz doskonalszymi sztucznymi satelitami, dzięki którym mogą między innymi oglądać ziemię, Hedl jest zawsze o krok dalej od swoich pracowników instytutów badawczych i cenzuruje obrazy docierające do wyspy z urządzeń na orbicie. Sztuczna inteligencja generuje widoki kontynentów, jako pogrążonych w postapokalipsie.

Nasuwa się kolejne pytanie: jak można skutecznie prowadzić badania, skoro tak wygenerowany fejk na wejściu, czyli świadomie stworzony błąd może na końcu dać błąd o skali niewyobrażalnej. Hedl myślał o tym i już tym nie przejmuje się, bowiem rozwój technologiczny pozwala mu na coraz pełniejszą kontrolę i ostatecznie – korygowanie błędów. Ważne jest to, co naczelnik może i wie, obywatele Resuny mają być tylko biologicznymi maszynami do pracy.

A gdzie w Hedlu moralność? Ach, przecież on ma święty cel: totalną równość swoich obywateli, świat, a nawet coraz głębsze przestrzenie w kosmosie bez wojen i cierpienia. „Bez cierpienia także duchowego” – przecież celem jest również wyrugowanie uczuć, emocji Resunanów.

Jak udaje się odizolować Resunę od reszty świata? Hedl, występujący w swojej postpolityce pod imieniem Primont,

zagroził światu, że naprawdę użyje broni nuklearnej, jeżeli jakikolwiek człowiek spróbuje zbliżyć się do wyspy. Że posiada broń jądrową, nie blefował. Jest ukrywana przed obywatelami – oni przecież mają nie znać wojen ani rakiet atomowych, czy innych militariów.

Mimo takiej potęgi, Hedl nie wprowadził swojego kultu. Taki kult autokraty wiąże się z emocjami, a te przecież ruguje.

Broń nuklearna, jak i pozostały arsenał, strzeżone są przez tajną Służbę Bezpieczeństwa Resuny (SBR lub SSR – „Servio Secura o Resuna” w ich języku). SBR, oczywiście wraz z Hedlem, sprawuje rzeczywistą władzę. Służba jest tak tajna, że obywatele nie wiedzą nic o jej istnieniu; zresztą w idealnym społeczeństwie, za jakie się uważają, wszystkie takie służby w mniemaniu ogółu nie są potrzebne. Funkcjonariusze SBR zajmują się przede wszystkim opracowaniem metod indoktrynacji obywateli oraz trzymaniem świata w szachu atomowym. Stworzyła na wyspie coś, co świat nazywa intranetem. Nie dopuszcza do przebicia się do Internetu, ani Internetu do intranetu. Opracowuje coraz doskonalsze algorytmy sztucznej inteligencji w celu manipulowania zagrażającymi systemowi danymi, a także wizerunkami postpolityków oraz „postapokaliptycznego świata”. Wpływa na decyzje Rady

Dwudziestu, która zajmuje się sprawami codziennymi i wyłanianiem z siebie w razie potrzeby sądów. Jak zostało już powiedziane, Rada nagradza najlepsze futurologiczne prace obywateli, ale i na to ma wpływ SBR. Tak przedstawia się hierarchia panującą na Resunie:

Założyciel, Naczelnik – F. Hedl

SBR i genetycy

postpolitycy

Rada dwudziestu i sąd

kierownicy instytucji medycznych, naukowych, edukacyjnych

władze strzegące porządku w życiu codziennym (ochrona

prewencyjna, straż pożarna itp.)

opiekuni młodzieży

studenci

Wszystkie instytuty i firmy są państwowe. Nie ma tam własności prywatnej – założyciel nie wyciągnął lekcji z historii, a może i wyciągnął, bo nawet nie znają takiego pojęcia, jak własność.

Zatem tylko Hedl i SBR znają prawdę. Jak udaje się naczelnikowi zindoktrynować funkcjonariuszy do tego stopnia,

że są wierni Hedlowi, jego idei i systemowi? Czy udaje się to dzięki genetyce? Czy może raczej istnieją w Resunanach jednak pokłady woli mocy?

Liblowi przyśniła się naga kobieta z mężczyzną – całowali się. Długo zastanawiał się nad snem, ale uznał, że obecne w nim postaci są jakimiś hybrydami tego co widział w różnych filmach, które produkują tam informatycy. Zignorował go i zapomniał. Nie wie nic o nieświadomości, bo przecież Freuda czy Junga tam nie wyklada się. Hedl nie docenił Jungowskiego pojęcia nieświadomości zbiorowej i nie wziął pod uwagę tego, że obecne są w niej archetypy, również te libidialne, również owa wola mocy (która tak dobrze została opisana przez Nietzschego, Adlera i Witwickiego – Hedl niewiele z tego zrozumiał), oraz że może to wszystko ukazywać się w snach. Genetycznie można zmienić ciało, nawet mózg, ale nie duszę. Rzymianie mawiali: *naturam mutare difficile est*.

Sny w ideologii Resuny są właśnie tylko takimi ulotnymi hybrydami doświadczeń i wrażeń z życia realnego.

Filozofii nie uczy się na wyspie, ale podobnie, jak archetypów, nie da się wyplenić także potrzeby filozofowania i uczuć oraz pytań metafizycznych. Można podejrzewać że

Resuna wykształci własną filozofię Boga, bytu i innych zagadnień. Hedl nie bierze tego pod uwagę, wierzy że manipulacjami genetycznymi uda mu się wreszcie i te kwestie rozwiązać. To oczywiście mrzonka, a skoro tak to stopniowo zaczną się wykształcać różne światopoglądy, pojęcia o wartościach. A za nie można nawet poświęcić się w walce. Zresztą już jakieś filozofie zarysowują się w futurologicznych pracach konkursowych homnitów – postludzi. Znaczy to, że władza Resuny nie może osiągnąć swojego celu: idealnego społeczeństwa bez konfliktów. Może wydarzyć się coś odwrotnego, może powstać społeczeństwo wojownicze i konfliktowe, jakiego świat nie widział, dlatego że brak w nim miłości, które występuje w normalnym świecie, wśród normalnych ludzi jako antidotum na zło, ale i cel sam w sobie. W normalnym świecie, jeżeli powszechne dobro nie istnieje aktualnie, to jest przynajmniej potencjalnie. Jest jednak wielu ludzi zdolnych do miłości, może nawet większość.

Hedl najwyraźniej nie czytał też Rolo Maya, filozofa który przekonująco dowodził, że na antypodach miłości nie jest nienawiść (która, jak każda namiętność może przekształcić się w miłość), lecz obojętność. Obojętna bezpłciowość jest zatem czymś, co może zagrozić spokojnemu życiu na wyspie z jej

niemal totalną równością.

Tymczasem, w minionym 2040 roku Liga Państw Narodowych i Międzynarodowa Agencja Kosmiczna wykryły przez sztuczne satelity, przez skanowanie ich terenu ogromne pokłady rzadkiego minerału – miki, przydatnej do bardzo wielu codziennych wyrobów, jak kosmetyki, lakiery, farby itp. Ostatnio odkryto jej właściwości lecznicze na choroby psychiczne. Jest to bardzo kosztowny minerał.

Od tego momentu Resuna wielu ludziom przestała być obojętna. Zastanawiano się jak pozyskać złoża miki, a przecież w układy handlowe nie wejdzie Hedl, bo chce izolować wyspę. Do wydobywania minerału potrzebni by byli robotnicy, a oni musieliby tym samym dowiedzieć się o istnieniu ludzi, co przeszkadzałoby demiurgowi. Ludzie nie wiedzieli, że są tacy Resunanie, których da się indoktrynować. Oni też nie wiedzieli nic o istnieniu SBR. Gdyby o tym rozgłosił światu Hedl, byłoby łatwiej i jemu, i ludziom.

Generał Antunow zdecydował: na wyspę zostanie rzucony napalm i jednocześnie zostanie przeprowadzony szturm na arsenał mieszczący rakiety jądrowe, o lokalizacji którego dowiedzieli się skanując Resunę przez satelity. Szturm ma zapobiec wystrzeleniu rakiet przez demiurga, a gdyby

poleciało kilka, Liga Państw Narodowych ma system antyrakietowy. Hedl przekonał świat o zagrożeniu apokalipsą, jednak wie o tym, że raket nie użyje, bo to oznaczałoby kres jego przedsięwzięcia. Ludzie o tym nie wiedzą i czują, że są w szachu. Czują się szantażowani.

– Musimy wymyślić bardziej humanitarny sposób – powiedział generał Taylor.

– To nie są ludzie – odpowiedział Antunow

– Mają ludzkie geny, to mi wystarczy.

– Szantażują nas! Nie ma co patyczkować się z nimi.

– Ależ szantażuje nas demiurg – stuprocentowy człowiek, mężczyzna. Natomiast te istoty są niewinne, nie mają agresji, żądzy władzy. To może anioły przyszłości! – spierał się Taylor

– To co mamy zrobić? Zrzucić bombę atomową, żeby nic nie poczuli, kiedy ich zmiotłaby z powierzchni? To by skaziło pokłady miki. Wykluczone. – zastawił się Antunow.

– To może powinniśmy zrezygnować z miki, zrezygnować z akcji...

– Generale Taylor, społeczeństwo nam świruje. Resuna chce podbić kosmos, a wtedy będziemy im zawadzać jeszcze

bardziej. Zatem akcja będzie: napalm i szturm.

Generał Antunow rozważał jeszcze przez jakiś czas: napalm i szturm czy bomba atomowa. Ostatecznie chronią ludzi systemy antyrakietowe, a pokłady miki są głęboko. Jeżeli minerał jednak zostałby skażony, to przynajmniej pozbyliby się problemu w postaci Resunan.

Pilot zaczyna zniżać maszynę. Jest niewidzialna dla radarów – jednak jaka jest tego gwarancja przy dzisiejszej technologii? Cóż, ryzykują, jak wszyscy na swój sposób. Za chwilę bombowiec będzie nad Resuną, pilot przygotowuje się do zrzucenia ładunku. Ładunek odłącza się od samolotu. Zbliżając się do wyspy, na wysokości siedmiuset metrów kapsuła rozrzuca swoją zawartość.

Na powierzchnię miasta opadać zaczęły arkusze. Libel, podobnie jak inni zdziwieni mieszkańcy, wyszedł z domu spojrzeć w niebo. Papierowe arkusze fruwały po nim i opadają. Są różnie zadrukowane. Libel podniósł jeden. Zobaczył na nim, nie wiedząc, co to jest: reprodukcję *Pocahunku* Gustava Klimta, *Tancerek* Edgara Degasa, *Bal w Moulin de la Galette* Aususta Renoira. Gdy jego wzrok zawisł na fotografii rzeźby *Amor i Psyche* Antonia Canovy, przypomniał sobie swój sen. Między

ilustracjami są także sonety do Laury Petrarcki, wiersze Safony, fragmenty *Dekameronu* Boccaccia, *Vita Nuova* Dantego, passusy z *Historii Seksualności* Michela Foucaulta. Wydaje mu się, podejrzewa, że to wszystko wygenerowała sztuczna inteligencja. „Ale po co to rozrzucają?” – pyta sam siebie.

Resunanie na tę chwilę boją się o tym fakcie rozmawiać. Po raz pierwszy poczuli strach. Hedl był w szoku. W dodatku te teksty na arkuszach – „Jak udało im się dotrzeć do naszego języka?”. Rzeczywiście wiersze, passusy z literatury przetłumaczono na unatę. „Skoro poznali język Resuny, to znaczy, że przebili się do naszego intranetu” – niepokoił się. On też zastanawiał się nad tym dlaczego to zrobiono, dlaczego odważono się, skoro trzyma ludzkość w szachu. Czy ludzie chcą wojny z Resuną?

Okazuje się, że na innych arkuszach są także opisy systemów totalitarnych i ruchów oporu względem nich. Objaśnia się na nich też, jak wygląda świat i jaka jest prawda o Resunie. Hedl i SBR zrozumieli że Liga Państw Narodowych chce wywołać na wyspie powstanie. Tak jest w istocie. Jednak jest on o to spokojny, bo żyje w przekonaniu że wyrugował agresję u homnitów.

Filozoficzna natura każdej myślącej istoty sprawiła, że

Resunanie zrozumieli swoją niewolę, instrumentalne traktowanie ich przez naczelnika. I tak pojawiły się buntowniczość i agresywność skanalizowane w opór. Ale to nie wszystko. Zrozumieli, że odebrano im rzecz najcenniejszą; umieją dostrzec piękno ilustracji, miłości, kobiet i mężczyzn, sonetów itd. Wyspę ogarnia chaos. Nawet niektórzy funkcjonariusze SBR wyłamują się z systemu, dozbierają ruch oporu.

Tymczasem Hedl obserwuje z Argentyny, jak jego dzieło popada w ruinę. Generalicja, która zdecydowała na zrzut ładunku i wywołanie wojny domowej na Resunie również przyglądają się jej przebiegowi.

Antunow, Taylor i cały sztab patrzyli na monitory z obrazem satelitarnym wyspy.

– Mam nadzieję, że ruch oporu zwycięży. – powiedział Taylor.

– Zapomina pan generale, że naszym celem jest doprowadzenie do tego, by Resunanie się wybili. Wtedy my wejdziemy na nienaruszone złoża miki.

– I tak mam nadzieję, że zwyciężą. Zresztą ten cel to mrzonka.

– Naprawdę pan tak uważa, generale Taylor?

– Ktoś na pewno przeżyje czy to podoba się panu, czy nie. Pytanie tylko, co z nimi będzie dalej?

– Pytanie, co wtedy z nami by było, Taylor?

Liblowi udało się wywalczyć motorówkę. Kilku Resunan zdołało załapać się z nim. Płyną w stronę kontynentu.



SLOVIAN
PSYCHO

Właśnie trwa przyjęcie u Króla Słońce – Ludwika XIV w wersalskim ogrodzie. Ogród zaprojektował André Le Nôtre na przeracjoanlizowany w swej geometrycznej, regularnej formie i jest doskonałym miejscem na wyrachowane intrygi dworskie i grę w szachy. Szachownica ułożona z białego marmuru i czarnego granitu jest miejscem starcia dworzan płci męskiej ubranych w wamsy, pończochy, buty w klamry na niskim obcasie oraz w lokowane peruki a *a la lion*. Kobięcym stylem wybija się Alfred, który występuje w roli czarnej damy. Nie mógłby być wieżą, bo nie lubi odpowiedzialności, jaką muszą mieć wartownicy, ani koniem, bo ten służy człowiekowi; ani laufrem, czyli giermkim, bo ten jest sługą swojego pana. Tym bardziej nie mógłby być pionkiem w grze. Królem gry nie został, bo ten ma ograniczone ruchy i partia toczy się o jego upadek. Został damą, bo ta ma duże pole manewru w szachach, a także, dlatego że zawsze chciał poczuć, jak to jest być kobietą. Mniejsza z tym, że przecież nie on jest od rozgrywania partii.

Jest to przyjęcie na miarę Francois Vateła, nadwornego majordomusa Ludwika XIV, poprzednika obecnego organizatora. A zmysł planistyczny ów ma wyostrzony.

Nieopodal, w różnych częściach ogrodu wytworzyły się drobne grupki – koterie rozgrywające swoje własne gry. Są to

gry miłosno – polityczne, a zatem koterie te są wylęgarnią niebezpiecznych związków. Mało tego, grupki owe snują intrygi względem siebie, a gry te zataczają coraz szersze kręgi. Z pozoru nic nadzwyczajnego się nie dzieje: ot jakiś bawidamek kłania się w pas, powiewając filcowym kapeluszem z ptasim piórem, a jakaś kobieta wysuwa zalotnie stopę z pantofelka.

Okazuje się, że wszystkie postaci poruszane są na niemal niewidzialnych żyłkach. Okazuje się, że jest to teatr marionetek, a jego reżyserem i wykonawcą jest Alfred.

Rozbrzmiał chór dziecięcy:

*Raz, dwa, trzy, cztery – Karol nie chce już Estery,
Pięć, sześć, siedem, osiem – podsuniemy mu więc Zosię,
Dziewięć, dziesięć, jedenaście – ale frajda na dwanaście.*

W teatrze rozlegają się głośne owacje. Alfred mile połączony, zaspokojony w swym narcyzmie, jakby od nadmiaru rozkoszy budzi się.

Istotnie, Alfred mógłby reżyserować intrygi dworskie.

Zanim zrobiło się z Alfreda to, co się zrobiło, był prostodusznym, wrażliwym dzieckiem, a później młodzieńcem.

Serce na dłoni, jak to mówią. Był regularny, jak blok marmuru. Różne przykre doświadczenia uderzały w miękki kamień, ociosywały go. Już nie był to piękny materiał, z którego mogłaby powstać piękna rzeźba. Z marmurowej istoty pozostał tylko chłód i coś na kształt raczej manekina, niż rzeźby. Coś jak robot, a Alfred szczyił się tym, że jemu udało się to, co Andy Warhol pragnął z siebie uczynić – udało mu się przeistoczyć w amoralną, bezuczuciową, beznamiętną maszynę. Pozostało tylko wyrachowanie, manipulowanie i coś bez życia. Stał się psychopatą. Żyje bezstresowo, nie dzięki stoicyzmowi czy innej filozofii, ale przez beznamiętność.

Dla normalnego człowieka przykre doświadczenia są, jak uderzenia dłuta, które wydobywają na wierzch charakter rzeźby. W Alfredzie było zatem już od początku coś, co nie pozwoliło ukształtować go normalnie. Jednak musiał być punkt zapalny, który pokierował jego osobowością i życiem akurat w tym, a nie w innym kierunku.

Co takiego się wydarzyło w jego życiu, że musiało do tego dojść? Otóż miarka przebrała się, gdy rodzice zobaczyli go w objęciach z jego chłopakiem. W ten sposób dowiedzieli się o jego homoseksualizmie. Ojciec był porywczy, choleryczny. Nie pogonił jednak chłopaka Alfreda, lecz upokorzył swojego syna

w obecności tamtego. To złamało Alfreda. W bloku marmuru, który zaczął nabierać już kształtów rzeźbiarskich, pojawiło się pęknięcie nie do zatarcia. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata.

Kiedy zmarł ojciec, nie był nawet na jego pogrzebie. Zresztą, w ogóle przestał interesować się rodziną. Ze studiów europeistycznych przerzucił się na bankowość. To do niego pasowało. Stopniowo zapominał to, czego nauczył się na poprzednich studiach i wcale się tym nie przejmował. Tych bankierów, którzy wykazywali się empatią uważał za niewłaściwych ludzi na zajmowanym przez nich miejscu. Może i słusznie, choć pomyślmy, co by było, gdyby kredyty sprzedawali sami psychopaci.

Teraz ma trzydzieści jeden lat, jest bankierem z pozycją, z której jest dumny, bo jego ojciec nie osiągnął takiej w swoim życiu. Nie pomyślał nigdy, że poprzednie pokolenie w większości miało utrudnione życie przez komunizm. Takie myślenie wymagałoby empatii, a on wyzbył się jej. Alfred wie, że jest psychopatą – w dobie internetu nie sposób o tym nie wiedzieć. On lubi nim być.

Lubi naciągać na kredyty, bo można wtedy nie tylko się wzbogacić, ale i pomanipulować ludźmi. Nieprzydzielanie zdolności kredytowych też go pociąga, zaspokaja jego

sadystyczne skłonności. Windykacja długów też go cieszy. Dziwne jest mówić o tej istocie, że lubi. To by znaczyło, że ma uczucia. Słyszeć, że Alfred „lubi” , „cieszy się” itp. to jak nasłuchiwać wiatru północno – południowego, albo wschodnio – zachodniego, jak słuchać o świecących czarnych dziurach.

Alfred wyczekiwał obecnej inflacji, bo może dzięki niej więcej zarobić. Ludzie potrzebują już nie tylko na domy, interesy, samochody, ale i na życie. Uważa, że ludzie, którzy nie biorą kredytów, to pasożyty społeczne.

Nie wierzy w miłość, choć beznamienne pożądanie gnieździło się w nim. Dlatego wkręcił się w towarzystwo Stokrotki, studentki ASP, która ma wielu ładnych kolegów. Przychodzi do niej zawsze w garniturze, w koszuli typu Winchester (może kiedyś będzie maklerem, bo oni też wciskają kit), po to by okazać jej swoją pozycję. Jej to jednak nie imponuje, czego on się nie domyśla. Ona zastanawia się, jak położyć na obrazie następny impast, a nie o takich sprawach, jest totalnie niemerkantylna, niekomercjalna, niematerialistyczna – i te cechy Alfred zauważył. „Już ja nauczę cię życia, słońce.” – powtarza do niej pół żartem przy różnych okazjach. „Naucz siebie.” – odpowiada asertywnie Stokrotka. W ogóle to nie wiedziała po co się z nim zadaje. Może jednak chce

dla kontrastu dowiedzieć się, jaki jest ktoś, kto myśli głównie o mamonie. Wie też, że musi w życiu radzić sobie i zarabiać na życie i farby, blejtramy itd.

Alfred chce wspinać się coraz wyżej, mieć coraz większe wpływy, coraz więcej podwładnych. Uwielbia władzę. Jedną z niewielu idei filozoficznych, jaka mu przyświeca to wola mocy Nietzschego. Poza tym niewiele czyta i chełpi się tym, bo jak mówi: „ma swój nienakierowany światopogląd”. Nie przychodzi mu na myśl nigdy, że światopogląd może wykuć się w dialogu, przede wszystkim w dialogu z klasykami, którzy ufundowali naszą cywilizację. Takie sprawy go nie interesują. Zresztą nie umiałby doświadczać warstw emocjonalnych, uczuciowych książek.

I właśnie wola mocy w nim wzbiera. Chce porozmawiać jutro rano ze swoim szefem o awansie. By dodać sobie odwagi, przyszedł do Stokrotki, rozsiadł się wygodnie i wyciągnął mały woreczek z białym proszkiem. Stokrotka jest przy sztalugach. Z warkoczami ułożonymi w wieniec wygląda, jak Świtezianka. W pomieszczeniu unosi się przyjemny zapach farb olejnych i terpentyny. Maluje widok z okna.

– Muszę porozmawiać z moim szefem. Zobaczysz teraz prawdziwego twardziela Stokrotko.

– Co to jest? – zapytała

– Moja dodatkowa moc, słońeczko

– Przecież to są narkotyki! – wykrzyknęła z oburzeniem – O nie! w moim domu nie będziesz ćpał.

– Stokrotko, to nie jest twój dom, tylko mieszkanie wynajmowane. A może właściciele są dealerami? – roześmiał się

– Nie, nie to są porządni ludzie. Znajomi moich rodziców.

– Ach ci rodzice... – wyszczerzył zęby Alfred

Otworzył woreczek z kokainą, rozsypał trochę, wziął tekturkę i uformował nią z proszku dwie kreski.

– No! Na dwie nóżki Stokrotko! – i wciągnął narkotyk.

– Jesteś popieprzony – powiedziała to bez złości, bez krzyków. Z pogardą.

Niektórzy z jej kolegów z uczelni robią to samo. Myślą, że są fajni, a są żalonymi konformistami. Niektórzy z tego wyrastają, inni nie.

Rozmowa z szefem poszła Alfredowi oczywiście doskonale: bez emocji, na zimno. Szef musi się zastanowić i da mu odpowiedź w przeciągu dwóch tygodni.

Parę dni później, kiedy sprawa z narkotykami rozeszła się po kościołach, poszedł po pracy do Stokrotki. Szuka okazji, by zmusić ją do umówienia go z jej ładnymi kolegami. A niektórzy z nich są gejami. „Najlepiej będzie ją jakoś zobowiązać” – myśli Alfred.

- Tak się zastanawiam po co ci to.
- Ale co?
- To całe malowanie. Po co kopiować rzeczywistość?

Stokrotka roześmiała się. W tym czasie gruntuwała blejtram czarnym gessem.

- I tak byś nie zrozumiał.
- Postaram się.

Nastało milczenie. Ale Alfred nie odpuszczał.

– No jeżeli masz na tym zarobić, to ma sens, ale wiesz, jakich trzeba układów, żeby się przebić? Nie ważne co umiesz, co wiesz, tylko kogo znasz.

W tym ostatnim zdaniu było dużo racji i jedynym antidotum na to może być tylko rzetelna merytokracja. Tylko w niej człowiek może być kowalem swojego losu. Nad tym się jednak Alfred nie zastanawia, choć usłyszał gdzieś o tym. Słowami o układach chciał raczej naprowadzić Stokrotkę na

myśl o nim. Przecież zna jego. A on zna ludzi, którzy znają kolejnych.

– Wiesz co? Ja maluję po to by więcej czuć i więcej zrozumieć. Także z siebie. Trudno jest mówić, po co jest komu sztuka. To tak, jak kochankowie mieliby opowiadać, po co im miłość. Zresztą na razie maluję też po to, by zdać egzaminy.

Alfred udawał, że rozumie. To składało się w tamtej chwili na jego grę, grę o chłopców.

– W takim razie, do jakiego obrazu przygotowujesz się teraz?

– Będę malowała swoją wizję *vanitas*

– Opowiesz coś o tym? – zapytał, choć wcale go to nie obchodziło. Przestał zastanawiać się nad kruchością życia już dawno temu.

– Będę potrzebowała czaszki, ma być moim modelem, a nie potrafię jej zdobyć. Te plastikowe są takie idealne, nieprawdziwe. Mój kolega ma znajomego na medycynie i może on mi pomoże wypożyczyć prawdziwą.

Alfred szybko doszedł do wniosku, że to dla niego świetna okazja.

– Stokrotko, ja ci załatwię czaszkę.

– Ciekawe jak? – zapytała kpiąco, a o możliwość dopuszczenia się zbrodni nie podejrzewa nawet jego.

– Założymy się. Jeśli znajdę czaszkę, umówisz mnie na spotkanie z ferajną.

– A co jeżeli nie uda ci się?

– Przelecisz mnie.

– Nie chcesz tego ani ty, ani ja. Okey, namaluję wtedy dla ciebie obraz w stylu Dalego.

Stokrotka wie, że Alfred ceni tylko tych malarzy, którzy dorobili się i myśleli oraz tworzyli komercyjnie, jak Dali i Warhol. Alfred przepada nawet za Witkacym ze swoją firmą portretową, ale oczywiście całkowicie ignoruje jego filozofię.

Wieczorem Alfred ubrał się na ciemno. To była letnia, pogodna noc. Wziął łopatę i kilof. Pojechał na cmentarz położony na przedmieściu. Tam nie pilnują, jak to robią w mieście. Dobieranie się do grobu z kamienia byłoby za ciężką robotą. Zresztą po co, skoro zna jedną surową, usypaną mogiłę?

Bezczeszenie zwłok, bluźnierstwa to były sprawy, względem których nic nie czuł. Udało mu się dokopać do spróchniałej trumny, która rozsypała się po paru lekkich

uderzeniach. Wyjął czaszkę. Spakował ją.

Na drugi dzień po pracy zajechał do Stokrotki.

– Wygrałem zakład

Stokrotka cały czas myślała, że Alfred uruchomi swoje znajomości w tej sprawie. Znajomości, o których tak dużo mówi. Jednak on nie miał żadnego kolegi na medycynie.

– Pokaż! – niecierpliwiła się Stokrotka. Była wręcz podniecona.

Alfred wyjął z worka czaszkę i dał ją jej. Ona w pierwszej chwili oniemiała i zaciągnęła się mocno powietrzem. Po chwili czar prysł, bo zauważyła w otworach czaszki grudki ziemi.

– Skąd to masz?! Wykopałeś ją! – upuściła czaszkę.

– Malujesz albo nie malujesz tę czaszkę, oto jest kwestia.

– nie udawaj, że znasz *Hamleta*, ty nie czytasz książek, tylko oglądasz *South Park* świrze!

– Przeglądam czasem litery w książkach – Alfred roześmiał się; ucieszył się, że znów nawiązał tym do *Hamleta*.

– Jesteś popieprzony! Brzydzę się tobą!

– Wiem, i to mnie podnieca. Niczym nie różnię się od

psycholi spośród hetero.

Czaszka należała do pradziadka ze strony ojca Alfreda.